

DR WŁADYSŁAW ZAHORSKI



LEGENDY WILENSKIE

NAKŁADEM I DRYKIEM
JOZEFĄ ZAWADZKIEGO
W WILNIE



EX LIBRIS
MICHAËLIS BRENSZTEJN
POLONI

*Ducatu Samogitiæ oriundi
Vilnæque domicilium habentis*

A D. M. CMXXVIII

*Wszystkie Inskrypcje w tym Prace Michałowa
Brensztejnów do przygotowania ukończono
w roku 1925*

*Witka
24. VI. 1925*

DR. WŁADYSŁAW ZAHORSKI

PODANIA I LEGENDY
WILEŃSKIE

Z DRZEWORYTAMI
PROF. ST. MATUSIAKA

Gk 11

WILNO
NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO
1925

WYSTAWA WARSZAWA 1950

RODANIA I LEGENDY
WILBŃSKIE



II 513.134

1950 D 198/121

PRZEDMOWA.

Twórczość ludu wyraża się w pieśniach, przysłowiacz oraz w bajkach, legendach i podaniach. O ile przysłowia są wyrazem mądrości ludu, o tyle podania odzwierciedlają jego wierzenia i wspomnienia faktów historycznych i osób. Wszystko jest zabarwione fantazją, we wszystkich niemal podaniach występuje siła nadprzyrodzona i cudowność. Dla tego, jak słusznie powiada L. Siemieński, do tego rodzaju twórczości ludowej nie można stosować krytyki literackiej.

Lud wiejski, obcując z przyrodą i nie będąc w stanie zrozumieć wielu jej zjawisk, przypisywał je siłom nadprzyrodzonym i w ciągu wieków tworzył klechdy, bajki i podania, w których figurują święci, aniołowie, djabli, czarownice, upiory, dusze pokutujące, wilkołaki, topielice, skarby zakłete i t. d.

Mieszkańcy miast w nieco innych znajdowali się warunkach, to też i w podaniach i legendach pochodzenia miejskiego podkład stanowią najczęściej zdarzenia historyczne i inne, które podziały na wyobraźnię swą niezwykłością.

Niewiele jest miast w Polsce, któreby miały tyle co Wilno legend. Niemal z każdą górą, z każdym dawnym budynkiem i kościołem związane są podania, odzwierciedlające epokę, wierzenia i obyczaje.

Niestety, nikt dotąd nie zajął się zebraniem wszystkich legend wileńskich, to też prawdopodobnie sporo takowych na zawsze zaginęło.

Pragnąc ratować od zapomnienia przynajmniej to, co jeszcze uratować można, od lat 30 szukałem w starych kronikach i dziełach dawnych i późniejszych dziejopisów i pisarzy naszych.

Nieco legend podał Jezuita ks. Naramowski w swoim „Facies rerum sarmaticarum et lithuanarum“, pojedyncze podania spotykamy u Strykowskiego w jego „Kronice“, w „Descripto Pol.“ Gwagnina, w „Messallonea“ Kojałłowicza, u Grzybowskiego, Knoglera oraz u nowszych pisarzy: ks. Hilarjona, Czackiego, T. Narbutta, L. Siemieńskiego, Wojcickiego, J. I. Kraszewskiego, M. Balińskiego, J. Karłowicza, A. H. Kirkora i innych, jak również w kronikach klasztorów wileńskich.

Kilka legend ogłosiłem drukiem w Kalendarzu Dobroczynności Katolickiej w Petersburgu w latach 1904 i 1905. Ponieważ jednak prawie u wszystkich wymienionych autorów znajdują się tylko krótkie suche wzmianki o tem, lub innem podaniu, przeto uważałem za stosowne podać je w bardziej barwnej szacie, a jednocześnie naszkicować tło historyczne, na którym legendy te powstały. Sądzę, że oświetlone w ten sposób staną się one bardziej zrozumiałemi, a jednocześnie czytelnik znajdzie kilka kartek z dziejów Wilna, z życia i obyczajów jego mieszkańców.

O ile to było możliwem, podałem legendy w porządku chronologicznym. Siedem takowych sięga czasów pogańskich, wszystkie inne są pochodzenia późniejszego, ostatnie zaś podanie jest nam współczesne, gdyż powstało w styczniu 1923 r.

Głęboką wdzięczność wyrażam p. profesorowi Stanisławowi Matusiakowi za ozdobienie mej pracy artystycznie wykonanemi rysunkami.

Autor.

Wilno, dn. 17 marca 1923 r.



BAZYLISZEK.

Wśród odwiecznych borów nad brzegami pięknej Neris (Wilji) i wartkiej Wilny (Wilenki) kryła się niewielka osada¹⁾. Ubodzy jej mieszkańcy mieli bardzo skromne wymagania, ponieważ nigdy daleko od swej siedziby nie oddalali się i czasem tylko od kapłana, albo od zbłąkanego podróżnego zasłyszeli, iż są kraje, w których i przyroda jest inna i ludzie żyją inaczej i dostatniej. Nie mało dziwów opowiadali przechodnie prostodusznym osadnikom, którzy takowe opowiadania za bajki poczytali. Nie nęciły ich tedy obce kraje. Kochali swoją cudną Neris, jej czyste, błękitne wody, łąki zielone, pagórki i gęste lasy, które rozbrzmiewały

¹⁾ Ulica Bakszta w Wilnie jest najstarszą częścią miasta. Tu, według badań, miała się znajdować pierwsza osada słowiańska nadługo jeszcze przed założeniem Wilna. Jest to strome wzgórze, na którym istnieje dotąd, chociaż przerobiona, bardzo stara, czworoboczna baszta, jedyna pozostałość po znajdującej się tu warowni, którą Krzyżacy zburzyli. Od tej baszty i ulica nazwę Bakszty otrzymała, jak łączącej się z nią ulicy dano nazwę Subocz, od podania, że tu na górze czarci i wiedźmy sobótki odprawiali. Na szczycie góry w dziedzińcu z piwnicy, pod basztą, znajduje się wejście do podziemnej pieczary i korytarza, o którym lud twierdzi, iż prowadzi on do Trok. Z tą właśnie miejscowością są związane podania o bazyliuszku i o skarbach zaklętych.

śpiewem niezliczonego ptactwa. Poważny niedźwiedź miał tu legowisko, potężny tur szukał w cieniu wiekowych dębów schronienia, a lekkie sarny przebiegały puszcę w rozmaitych kierunkach. Lasy dostarczały osadnikom grzybów, jagód, zwierza i skór, pszczoły miodu, a rzeka ryb pod dostatkiem. Z krzemienia, obfupawszy i wygładziwszy go, robili broń i narzędzia, chociaż nie misterne, niemniej jednak pożyteczne. Mając niewielkie potrzeby, z łatwością na miejscu zaspakajane, czuli się osadnicy szczęśliwymi w swych chatkach ubogich, dziękowali bogom za dobrodziejstwa, jakimi ich obdarzali i przez wdzięczność wnosili ołtarze, palili ognie i składali ofiary.

Wszystko tu było proste, i życie, i miłość, i śmierć sama. Zdarzało się, iż silny i barczysty osadnik, wyszedłszy na łowy, już do swej zagrody nie wracał, znajdował bowiem śmierć w uścisku niedźwiedzia, lub na rogach tura. Nie jeden spoczął na piaszczystem dnie rzeki, lub został przygnieciony olbrzymiem drzewem. Były to wypadki powszednie i nieuniknione.

Ale snadź prostoduszni osadnicy z nad Neris obrazili bogów i ich zemstę na siebie ściągnęli. Może nie dopilnowali ognia świętego i ten zagaśł, albo zamała słońciny i innych ofiar na ołtarzach złożyli, a może dziewica nie dochowała ślubowanej czystości, dość, że rozgniewani bogowie okropną zesłali karę.

Oto na wzgórzu w pieczarze zamieszkał od niedawna straszny potwór bazyliszek, o którym nikt powiedzieć nie mógł, jak wyglądał, ponieważ każdego, co się do pieczary zbliżyć próbował,

zabijał wejrzeniem i pożerał. Wśród ciemnej nocy zdała migotały u wejścia do jaskini dwa zielonkawe światelka. To bazyliszek z legowiska wypęztał i ofiarę wyglądał. Biada nieostrożnemu myśliwemu, który, goniąc zwierzynę, zapędził się ku wzgórzu, biada dziewicy i dziecku, szukającym tu kraśnych jagód i kwiecia... Spotkawszy się z wzrokiem potwora człowiek drętwiał i padał, jakby rażony piorunem. Wtedy bazyliszek pożerał ofiarę. Nie gardził zgrzybiałym starcem, ani niemowlęciem, ale przedewszystkiem czyhał na dziewice. Już wiele rodzin opłakiwało ojców, wiele młodzińców utraciło swe ukochane, wiele matek zawodziło po stracie dzieci, a potwór wciąż nowe porywał ofiary. Błagano bogów, palono liczne ofiary, zakopano żywcem do ziemi jedną z dziewic. Nic nie skutkowało. To też smutek zawisł nad szczęśliwą dotąd osadą. Na polance pod rozłożystym dębem zebrał się na radę sędziwi kapłani i starszyzna. Przemyślano nad sposobami zgładzenia straszego wroga. Jedni doradzali zbudować z kłód olbrzymich wysoką ścianę, któraby osadę od wzgórza oddzieliła, inni byli za wzniesieniem pożaru w zaroślach około jaskini... Słowem każdy występował z projektem, ale wszystkich najpiękniejszych planów trzeba było się wyrzec wobec niemożności zbliżenia się do bazyliszka. Naradom przysłuchiwał się młody osadnik. Silnie zbudowany, o długich, jasnych włosach, spadających na ramiona, o złocistym puszkę, który zdołał mu wargę i śniade, żywym rumieńcem okraszone policzki, o oczach dziwnie głębokich, był on uosobieniem męskiej siły i piękności. Dziewczęta czułem

spójrzeniem gonify za nim, gdy zwinny i lekki uganiał się za zwierzem, albo silnem ramieniem sieć ryb pełną z wody ciągnął. Niejedna kochała go skrycie i pragnęłaby z nim losy podzielić. Były i takie, co się udawały pokryjomu do czarownicy miłośnej, prosząc, aby natchnęły pięknego młodziana miłością, ale ten pozostawał obojętny na wdzięki i uśmiechy wdzięcznych dziewczyc, od kilku bowiem miesięcy ukochał Jagnę, uroczą i świeżą, jak nimfa rzeczna. Jagna płaciła mu wzajemnością i nieraz, siedząc nad brzegiem rzeki, skąpani w świetle księżyca i zasłuchani w trelach słowika, marzyli o radośnej przyszłości. Młodzieniec rozpoczął budowę nowej chaty, która miała być znacznie od innych okazalszą i nawet posiadała okno z naciągniętym na ramie pęcherzem, tak że w izbie było jasno. Nie żałował pracy, by nagromadzić jak najwięcej skór niedźwiedzich, wilczych i rysich. Wraz po wykończeniu budowy mieli się pobrać.

W tym właśnie czasie zamieszkał w jaskini na wzgórzu bazyliszek i gdy zrozpaczona ludność już znikąd nie spodziewała się pomocy, młody osadnik powziął zuchwałą myśl zgładzenia potwora. Rozumiał dobrze na jak straszne niebezpieczeństwo się naraża, ale dodawało mu odwagi przekonanie, że, zabijając bazyliszka, ratuje swą Jagnę, którą czekał los innych dziewczyc przez niego pożartych. Rozważny i w walkach ze zwierzem do ostrożności nawykły, długo przemyślał, w jaki sposób podejść wroga, nie będąc przez niego widzianym. Złożył bogom bogatą ofiarę, długo i gorliwie się modlił, aż w końcu ułożył plan postępowania.

Słyszał nieraz od przechodniów, iż w sąsiednich krajach ludzie posiadają płyty metalowe tak wyszlifowane, że odbijają w sobie wszelki przedmiot, ku któremu zostaną zwrócone. Człowiek widzi w takiej tafli odbicie swej twarzy wyraźniej, niż w stojącej wodzie. Postanowił za wszelką cenę nabyć podobną blachę, którą podróżni zwał zwierciadłem. Pożegnał płaczącą Jagnę i niebawem udał się w drogę. Uciążliwa i pełna niebezpieczeństw była jego podróż przez puszcze i moczary. Doznał głodu i strachu, gdy duchy leśne otaczały go nocami, a nimfy jeziorne i błotne wabiły go ku sobie. Nie jedną noc spędził bez snu na drzewie, by się nie stać łupem dzikiego zwierza. Nieraz padał ze znużenia, zwłaszcza, że dźwigał na sobie sporo skór bobrowych, lisich i innych, by za nie nabyć zwierciadła. Zwyciężył jednak wszystkie przeszkody i wrócił do osady ze zdobytym skarbem.

Nikomu nie zwierzył się ze swym zamiarem, nikomu zwierciadła nie pokazał. Tylko Jagna była we wszystko wtajemniczona i chociaż trwożyła się o ukochanego, nie próbowała go jednak powstrzymać. Przysięgła tylko, że jeśli jej luby zginie, ona również uda się do jaskini i odda się bazyliškowi na pożarcie.

Nadszedł wreszcie dzień, przeznaczony na spełnienie zamiaru. Ledwie jutrzeńka zaróżowiła brzeg nieba, mężny młodzieniec udał się ze zwierciadłem ku wzgórzu. Droga od rzeczki Wilny wiodła wciąż ku górze, porośnięta krzewami i usypana głazami. Niebawem poczuł swąd siarki i zgnilizny, aż oto potknął się o jakiś przedmiot

okrągły, który mu z pod stóp się potoczył. Była to zbieła od słońca i deszczów czaszka ludzka. Zrozumiał, iż jest bliskim celu, zdwoił tedy uwagę i raz jeszcze rozważywszy plan postępowania, śmiało postąpił naprzód, starając się nie sprawiać hałasu i ukrywając się za krzewami i głązami. W ten sposób choć wolno, ale stale zbliżał się ku jaskini. Śwąd siarki i ciał gnijących stawał się coraz bardziej nieznośnym, zaś w zaroślach i pomiędzy kamieniami coraz więcej walało się kości nawet z kawałkami mięsa.

Wtem młodzian posłyszał dziwny dźwięk, podobny do szumu wody kotłującej. Stanął i wyrzwał z za głązu, a to, co ujrzał, było tak okropne, że omal nie krzyknął i zwierciadła nie upuścił. U ciemnego wnijscia do pieczary leżał olbrzymi potwór z głową, jak u ropuchy, z paszczą szeroką, z której kły zakrzywione wystawały. Brudnozielonawem cielskiem przypominał potwornej wielkości jaszczurkę. Tylne część ciała leżącego na brzuchu bazyliuszka ginęła w mroku jaskini, zaś pod wyciągniętymi naprzód potwornymi łapami leżało okrwawione i straszliwie poszarpane ciało młodej dziewczyny. Tylko głowa pozostała nieuszkodzoną, a twarz z szeroko rozwartymi żenicami zachowała wyraz śmiertelnej trwogi i przerażenia.

Potwór spał, grube nabrzmiałe powieki przykrywały jego wyfupiaste oczy. Nozdrza rozdymały się i z głośnem chrapaniem wyrzucały kłęby pary i smrodliwego dymu, które zarażały powietrze.

Bazyli szek widocznie poczuł obecność żywej istoty, drgnął bowiem, przeciągnął się i podniósł powieki, z pod których błysnęły straszliwe ślepie.

Odważny młodzieniec czekał na tę chwilę i niosąc przed sobą zwierciadło, szybko z za głazu wystąpił. Potwór przez chwilę pozostał nieruchomy ze zdumienia, wnet jednak szybkim ruchem wysunął się z pieczary i wsparłszy się na łapach utkwił wzrok w zwierciadle. W tej że chwili wydał ryk straszliwy, wyprężył się i uczyniwszy skok w powietrze, całym cielskiem olbrzymiem runął na ziemię. Z szeroko rozwartej paszczy strumieniem buchnęła czarna, cuchnąca posoka. Po chwili już nie żył. Zabił się własnym wzrokiem, który się od zwierciadła odbił.

W tej właśnie chwili słońce jasne, jakby rosą poranną obmyte, wyrzało z za lasu i rzuciło miliony blasków i snopy promieni na niebo i ziemię.

Młodzieniec pochwycił róg, zwieszający się mu przez ramię na rzemieniu i w czystym powietrzu rannem zabrzmiała pieśń radośna, pieśń tryumfu. Grał coraz namiętniej, coraz głośniej, a metaliczne dźwięki biły w niebo i płynęły w przestrzeń, aż dosięgły osady, budząc uśpionych mieszkańców. Wybiegli z chat i zagród, rozumiejąc, iż stało się coś niezwykłego. Ujrzeni Jagnę, pędzącą lotem ptaka ku wzgórzom, gdzie bazyliżek na swe ofiary czyhał. Rzuciła słów kilka i cały tłum w ślad za nią pomknął.

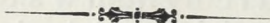
Upłynęło chwil kilka i tenże tłum wracał ku osadzie, niosąc na barkach dzielnego zbawcę wśród radośnych okrzyków i sławiąc jego poświęcenie, męstwo i roztropność.

Na wzgórzach w pobliżu jaskini wzniesiono z kamienia basztę czworokątną, od której samo wzgórze nazwę Bakszty otrzymało.

(Według ks. Naramowskiego).

II.

Narbutt w „Pomniejszych pismach historycznych“ podaje inną odmianę podania o bazyliisku, wyjętą ze starego rękopisu p. t. „*Descriptio historica brevis civitatis vilnensis*“. „... Dziwne, a trudne do uwierzenia opowiadają rzeczy o podziemiach pod górą Bakszty Subockiej. W jakowym podziemiu jakoby czarownicy, czarownice i djabli subotki swoje zwykli wyprawować, od czego i Bakszta Subocką się nazywa. Są nawet wiadomości, że w podziemiu takowym Bazyliiski się były zagnieździły, które zstępujących tam ludzi spójrzaniem zabijały na miejscu. Po odkryciu owej śmiercionośnej otchłani i nieszczęśliwych doświadczeniach, posłano razu jednego człowieka odważnego, a był to zbójca, wskazany sądownie na karę śmierci. Temu na plecach zawieszono zwierciadło i dano w obie ręce pochodnie gorejące. Idący zawsze tyłem zbliżył się w końcu do miejsca, gdzie był Bazyliisek, który sam siebie w zwierciadle oko w oko ujrzawszy, zawył okropnie i zdechł“¹⁾.



¹⁾ Wiara w istnienie bazyliiska była powszechną jeszcze przy końcu wieku XVIII. W gabinecie historii naturalnej wileńskiej Akademii jezuickiej znajdował się okaz zasuszony jakiejś potwornej ryby morskiej, pokazywany uczniom jako bazyliisek. (T. Narbut. Pisma pomniejsze, str. 53).



Młodzian i Bazyliszek (str. 7).

PROPERTY OF THE UNIVERSITY OF TORONTO

O ŚWIĄTYNI PERKUNASA.

Gdy Krzyżacy, korzystając z zamieszania, jakie na Litwie po śmierci Mendoga zapanowało, po dwakroć zniszczyli święte Romowe nad Dubisą i Niewiażą, wtedy W. Książę Świntorog przeniósł Romowe do puszczy nad ujściem Wilenki do Wilji. Miejsce to księciu było znane jeszcze z czasów młodości, gdy się bawił łowami. Jakoż stanęła tu skromna i uboga gontyna bez dachu, a w niej przed posągiem groźnego Perkunasa, który z Połgi przywieziony został, rozniecono wiecznie gorejący ogień święty, strzeżony od zagaśnięcia przez ofiarników — wejdałotów i dziewice święte wejdałotki. Za świątynią książę wyznaczył zgliszcze, czyli miejsce na całopalenie zwłok książęcych i sam tu po śmierci był przez syna Germonta spalony.

Przed wejściem do świątyni Świntorog wybudował niewysoką basztę okrągłą¹⁾, z której kapłankiwe ogłaszali ludowi wolę bogów, oraz śledzili bieg słońca i gwiazd.

Litwini pogańscy byli przesądni, wierzyli we wróżby i nie rozpoczynali żadnego dzieła bez naradzenia się z wróżbitami, wrózkami, czarno-

¹⁾ Przypuszczają, że baszta ta stanowi podstawę dzisiejszej dzwonnicy katedralnej.

księżnikami i wyroczniami, których mnogość była na Litwie i Żmudzi. Jedni, t. zw. Puttones wróżyli z piany wodnej; inni z dymu, z soli, z wosku, z lotu ptaków, ze zjawisk powietrznych i t. d.

Świntorog, starzec 96-letni, nabożny i wierzący w gusła i wieszczby, pragnął przed rozpoczęciem budowy świątyni zasięgnąć rady wieszczki.

Wiedział księżę o Burinime, znakomitej wyroczni, mieszkającej na Żmudzi nad dolnym Niemnem. Do tej to Sybilli żmudzkiej Świntorog wysłał sześciu poważnych starców z darami bogatymi, prosząc, by zechciała odkryć, jakie będą losy przyszłej świątyni.

Mądra wieszczka, po wykonaniu rozmaitych guseł, obiecała świątyni trwanie tak długie, jak długo pogaństwo same trwać będzie. Wyrocznia kazała sporządzić i odwieźć księciu Świntorogowi 122 sztuk cegły okrągłej, z wrytymi na nich znakami hieroglificznymi, które miały oznaczać dobre i nieszczęśliwe lata. Na ostatniej cegle był znak krzyża podwójnego \equiv . Miało to być przepowiednią, że gdy nadejdzie kolej tego znaku, chrześcijanie obrządków zachodniego i wschodniego zburzą pogaństwo i świątynię. Księżę kazał wmurować te cegły w ścianę baszty od strony południa.

Proroctwo wieszczki spełniło się, albowiem po 122 latach Jagiełło ochrzcił Litwę, zburzył świątynię Perkunasa, a na jej fundamentach wznosił kościół katedralny. Znak podwójnego krzyża wryty na ostatniej cegle król kazał umieścić na tarczy jeźdźca Pogoni, jako świadectwo zwycięstwa, odniesionego przez chrześcijaństwo nad poganizmem.

(Według T. Narbutta).



LIZDEJKO¹⁾).

Kriwe-Kriwejte, arcykapłan przy świątyni Perkunasa w dolinie Świntoroga utracił młodą żonę. Nie pomogły liczne ofiary, spalone na ołtarzach bogów, nie uratowały chorej zaklinalnia kapłanów, ani podawany w napoju popiół z ołtarza wiecznego ognia. W kwiecie wieku zgasła małżonka arcykapłana. Kriwe-Kriwejte popadł w zadumę, stronił od ludzi, z którymi obcowanie było mu przykre i szukał samotności. W tym celu po nabożeństwie w świątyni sam bez towarzyszków odbywał dalekie wycieczki, siadał do czółna i płynął z biegiem Wilji, albo pieszo zapuszczał się w lasy okoliczne i nieraz zadumany milę i więcej

¹⁾ Według podania Lizdejko miał być znaleziony w orlem gnieździe. W rzeczywistości był on synem w. księcia Narymunda, po którego śmierci Dowmund, brat zmarłego, chciał zgładzić jego potomków, ale starszy syn Petus umknął do Krzyżaków, zaś młodszego uratowała piastunka przez ucieczkę do gaju świętego, gdzie przyjęty przez arcykapłana, ogłoszony został za dziecko, znalezione w orlem gnieździe. Znacznie później arcykapłan odkrył w. księciu Witenesowi prawdziwe pochodzenie chłopca i Lizdejko, zostawszy arcykapłanem, poślubił siostrę wielkiego księcia. Umarł w roku 1350-ym, mając lat 70. Od Lizdejki bierze początek kilka znakomitych rodów litewskich, jak Radziwiłłowie, Osłykowie, Narbutowie.

uszedł. Przyroda kołła ból i zablizniała świeżą ranę. Nie dziw, że troska osiadła chmurą na wyniosłem czole wielkiego kapłana, nie dziw, że na skroniach i w czarnej wypieszczonej brodzie zjawily się srebrne nitki. Według prawa arcykapłan nie mógł pojąć drugiej żony, a Kriwe-Kriwejte był jeszcze w sile wieku, serce miał gorące i pragnął miłości kobiety i pieszczot dziecka. Musiał się tych rozkoszy na zawsze wyrzec.

Podczas jednej z wycieczek w stronę dzisiejszych Werek, gdy szedł zadumany, usłyszał w bliskości śpiew. Nieznacznie zbliżył się ku miejscu, skąd go dźwięki dochodziły. Na niewielkiej polance w cieniu bujnego krzewu siedziało nad strumykiem urocze dziewczę. Młoda litwinka opuściła do wody bosc drobne stopy, zaś białe jej ręce z różowemi paluszkami zajęte były pleceniem wianka z róż polnych, konwalji i bławatków, które pokrywały jej kolana i rozsypane na murawie tworzyły u stóp dziewczyny barwny kobierzec. Oddana robocie, urozmaicała ją sobie śpiewem. Głos jej niski, piersiowy, był bardzo dźwięczny. Od czasu do czasu przerywała śpiew i sięgała do stojącej obok kobiałki, po brzegi malin pełnej.

Arcykapłan długo wpatrywał się w to cudne zjawisko, aż wreszcie nie mógł się dłużej opierać pokusie, która go ku dziewczęciu pociągała i opuściwszy kryjówkę, zbliżył się do nieznanomej. Dziewczyna narazie strwożyła się nagłem zjawieniem się obcego mężczyzny, ale wnet się uspokoiła, poznawszy w przybyłym wielkiego kapłana, którego wespół z całym ludem czciła, a poczytując prawie za półboga, nieco się obawiała, ale i ser-

decznie żałowała, gdyż wiedziała o bolesnej stracie, jaką poniósł. To też powstawszy z miejsca, złożyła mu głęboki, pełen czci ukłon. Arcykapłan pogłaskał jasne włosy dziewczęcia, rozkazał jej usiąść i sam usiadłszy obok na murawie, jął rozpytywać, kto jest, skąd pochodzi i gdzie są jej rodzice? Dziewczyna odpowiadała zrazu nieco strwożona, lecz ośmielona dobrocią oraz miłym i łagodnym obejściem towarzysza, nabrała odwagi i z dziecięcą szczerością, nic nie tając, opowiedziała mu dzieje niedługiego swego życia. Liczyła 18 wiosen życia, była sierotą, matki nie pamiętała, a ojciec przed kilku laty, biorąc udział w łowach książęcych, trafił na rogi tura i przyniesiono go konającego z poszarpaną piersią i połamanymi zębami. Po pogrzebie ojca zamieszkała przy starej ciotce, ubogiej wdowie, która nieopodal miała chatkę. W zimie przędły i tkwały, latem zbierały miód, suszyły grzyby, hodowały krówkę, a w ogrodzie miały dużo ładnych owoców, wisien i jagód. Ludzie kupowali płótno i sukno. W dostatkach nie opływały, ale i biedy nie znały. Były ze sobą szczęśliwe, bo ciotka, chociaż stara i trochę zdzieciniała, kochała ją i nie krzywdziła.

Arcykapłan obdarzył dziewczynę drobnym datkiem i kazał jej przyjść nazajutrz na to samo miejsce. Odtąd widywali się często. Kriwe-Kriwejcie przynosił dziewczęciu upominki: wstążki barwne, sznury bursztynów, lub łakocie, ona mu za to śpiewała rzewne piosnki, albo opowiadała bajki i podania. Zupełnie przestała się obawiać i z dziecięcą pustotą pozwalała sobie na swawole; gładziła różową dłońią jedwabistą brodę kapłana,



stroić mu głowę w kwiaty, lub karmiła go malinami, kładąc mu je do ust. Szukali swego towarzystwa i tęsknili do siebie. Sami nie wiedzieli, jak i kiedy wyrzekli słowa miłości, a usta ich w pocałunku się złączyły. Arcykapłan odwiedził dziewczynę w dworku ciotki, przez którą z czią najwyższą przyjęty został. Do chatki zawitał dobrobyt i stara ciotka już nie potrzebowała ciężko pracować i troszczyć się o jutro.

Kriwe-Kriwejcie zwierzył się ze swą tajemnicą jednemu kapłanowi, który go kochał, jak ojca i gotów był życie za niego oddać. Ten, choć przerażony strasznymi następstwami, jakie ten związek musiał za sobą pociągnąć, gdyby był odkryty, uległ prośbom przyjaciela i zgodził się dopomóc w zawarciu tajnych ślubów z piękną dziewczyną. Owocem tego małżeństwa był syn.

Dziecię to uszczęśliwiało rodziców, ale zarazem przyście jego na świat czyniło nader trudnem, prawie niemożliwem ukrywanie tajemnicy ich związku. Wykrycie zaś tegoż groziło obojgu straszną karą. Arcykapłan zostałby spalony na stosie, a ją czekało zakopanie żywcem do ziemi.

Próżno łamali głowy nad wynalezieniem sposobu zachowania dziecka przy matce bez wydania tajemnicy. Wreszcie miłość ojcowska podszeptała Kriwe-Kriwejcie sposób wyjścia z kłopotu.

Dowiedział się mianowicie, że za parę dni wielki książę z orszakiem dworzan zjeżdża na łowy, które mają się odbyć w miejscowości przez jego żonę zamieszkałej. W dniu wyznaczonym układa dziecinę w bogato przystrojoną w kwiaty, wstęgi, złote chwasty i świecidełka kolebkę i tę umieszcza

w orlem gnieździe na dębie ¹⁾, w miejscu, którego wielki książę nie mógł ominąć, ponieważ było tu siedlisko turów i żubrów. Tych Kriwe-Kriwejte daleko w puszcę spłoszył.

Niedługo potem zagrzmiały w borze rogi i trąby, rozległy się nawoływania myśliwych oraz szczekanie psów i dzielny kunigas z jedną ręką pełną grotów i potężnym oszczepem w drugiej pośpiesza na czele orszaku, gwałtownie rozchylając gałęzie. Ale nagle staje zdumiony. Zamiast bowiem ryku turów słyszy nad sobą kwilenie dziecka. Rozglądając się spostrzega pośród gałęzi na dębie coś błyszczącego. Na rozkaz księcia łowcy wążą na drzewo i ostrożnie składają u stóp książęcych kolebkę z dziecięciem, które, gdy się ku niemu książę skłonił, przestało płakać i uśmiech jego drobną i piękną twarzyczką rozjaśnił. Kunigas i dwór jego stali zdumieni, rozumiejąc, że to cudowne zjawisko jest przez bogów zesłane. Posłano po arcykapłana, który, jakby o niczem nie wiedząc, pośpieszył na wezwanie i zapytany przez księcia, jakby to cudowne znalezienie dziecka wytłómaczył, nie odrazu dał odpowiedź. Chcąc ukryć wzruszenie, jakie go opanowało na myśl, iż ta chwila stanowi o jego własnym i drogich mu istot życiu, rozpoczął długą z bogami rozmowę. Wróżył z wiatru, ze szmeru drzew, oraz z popiołu, który ze sobą z ofiarza świątyni przyniósł. Książę wraz z dworem w skupieniu i z uszanowaniem przyglądał się tajemniczemu gusłom wielkiego kapłana. Wreszcie Kriwe-Kriwejte z uroczystą

¹⁾ Dziś w tem miejscu stoi pałac werkowski.

powagą na twarzy, wyjął dziecinę z kolebki i podając ją wielkiemu księciu, rzekł:

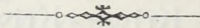
— Księżę! Bogowie nową cię łaską obdarzają. Przez ciebie Litwa uszczęśliwioną zostanie. To dziecko zsyłają ci wczesnie bogowie na mego następcę, gdy ten świat opuszczę. Wychowaj je troskliwie, a stanie się twoim i Litwy u bogów pośrednikiem!

Uradowany księżę upraszał arcykapłana, by wziął niemowlę do siebie i jego wychowaniem się zajął, ten jednak znowu długą miał rozmowę z bogami, którzy zamiar księcia pochwalili. Wtedy dopiero Kriwe-Kriwejte zabrał znalezione dziecko do swego pałacu, dokąd wezwał również swą żonę, jako piastunkę dziecka.

Księżę na pamiątkę cudownego znalezienia dziecka w gnieździe, które po litewsku zowie się *lizda*, nadał mu imię Lizdejko, zaś samą miejscowość nazwał Werki od słowa *werkt'*, co znaczy „płakać“.

Bogowie spełnili obietnicę, albowiem Lizdejko po śmierci ojca został arcykapłanem, poślubił siostrę w. księcia Witenesa i szeroko po świecie imię Litwy i własne rozstawił. On to właśnie wytłumaczył Giedyminowi znaczenie snu o żelaznym wilku, co dało powód do założenia Wilna.

(Według Strykowskiego, Grzybowskiego i Narbutta).



PODANIE O ŻELAZNYM WILKU.

Na przestrzeni dzisiejszego Wilna u stóp wzgórz, gdzie Wilenka wlewa swe wody do Wilji w XIII wieku znajdowały się nieprzebyte lasy. Wśród tej puszczy dębowej w. książę Świntorog wzniósł świątynię Perkunasa, rozniecił ogień święty, postanowił tu arcykapłana Kriwe-Kriweite, kapłanów Kriwe i wejdałotów, czyli ofiarników niższego rzędu. Odtąd miejscowość ta otrzymała nazwę doliny Świntoroga.

Dokoła szumiał bór odwieczny, pełny różnego rodzaju zwierza. Potężny tur — król puszczy litewskiej, budził rykiem stuletnie olbrzymy, nocami szczeakały i wyły wilki, drapieżny ryś ukryty w gęstwinie drzew czatował na zdobycz, a liczne różnorodne ptactwo napełniało powietrze pieniem i świegotem.

Nie dziw, że puszcza ta często ściągała myśliwych, a echo roznosiło dźwięki rogów.

Do zapalonych łowców należał w. książę Giedymin, przebywający w swej nowej stolicy Trokach, gdzie na wyspie pośrodku jeziora Gałwe wzniósł zamek warowny. Giedymin z orszakiem towarzyszków swych wypraw wojennych i dworzan często oddawał się ulubionej rozrywce.

Pewnego razu, a było to około r. 1322, książę goniąc olbrzymiego tura, zapuścił się aż na wzgó-

rza, otaczające ujście Wilenki do Wilji i tu na jednej z gór dopadł zwierza i zabił go z kuszy¹⁾).

Ogromny tur, ugodzony w serce, padł nieżywy, a książę, oparłszy stopę na jego potężnej głowie, zadął w róg w złoto oprawny. Słońce już dawno zaszło i księżyc srebrnolicy wypłynął na niebo, srebrząc wierzchołki lip i dębów i migocąc w nurtach Wilji. Tylko ze świątyni, znajdującej się u stóp wzgórza bił blask czerwony ognia świętego, a smętny śpiew wejdałotów rozlegał się w ciszy nocnej.

Znużeni całodziennem uganianiem się za zwierzem uczestnicy łowów, pokrzepiwszy siły skromną wieczerzą i miodem, układli się na spoczynek, wybrawszy na nocleg zgliszcze Świntoroga, pomiędzy świątynią a Wilją.

Giedymin długo nie mógł zasnąć, wreszcie znużenie przemogło i sen skleił mu powieki. I oto przyśniło mu się, iż na szczycie góry, na której zabił tura, ukazał się wilk ogromny, cały żelazną zbroją okryty. Wilk podniósłszy głowę na księżyc, zawył, a wycie jego było tak donośne, iż zdawało się, że to nie on wyje, lecz sto innych wilków w nim zawartych.

Gdy wschodzące słońce jasnymi promieniami zalało góry, rzekę i przedarło się przez listwę drzew, obudził się Giedymin i przypomniawszy sobie dziwny sen, opowiedział go swym towarzyszom. Jak wszyscy poganie, książę był zabobonny i przypisywał snom znaczenie wieszcze, wierząc, że zsyłają je bogowie, jako radę, lub ostrzeżenie.

¹⁾ Gdy jedni utrzymują, że Giedymin zabił tura na górze Krzywej, czyli Łysej (obecnie Trzykrzyskiej), według zdania innych miało to miejsce na górze Turzej, czyli Zamkowej.

Nikt jednak z dworzan nie mógł odgadnąć, co by takowy sen oznaczał. Wtedy ktoś poradził, by wezwać arcykapłana, słynącego z mądrości, Lizdejkę. Kriwe-Kriwejte stanąwszy przed w. księciem i wysłuchawszy jego opowiadania, zamyślił się. Otaczający go kołem rycerze, wpatrzeni w oblicze kapłana, z niecierpliwością oczekiwali wytłómaczenia snu.

Wreszcie Lizdejko wsparłszy jedną rękę na lasce, która była oznaką jego godności, a drugą podniósłszy do góry rzekł:

— Miłościwy księżę! Bogowie to zesłali ci ten sen i przez niego wyrażają swą wolę, której gdy będziesz posłuszny, czeka cię potęga i sława. Wilk żelazny znaczy, że na miejscu tem stanie zamek mocny i miasto—głowa państwa, a stu wilków w niem wyjących oznacza mieszkańców, którzy sławę twoją i tego grodu szeroko po świecie rozgłoszą. Masz więc być posłusznym woli bogów, wznieść tu zamek warowny i założyć miasto.

Giedymin przyjął z radością to tłómaczenie i niezwłocznie na górze, którą nazwał „turzą“¹⁾, zaczął budować zamek, opasany murem z dwiema wieżami sześciobocznymi. U stóp zaś góry, pomiędzy nią a świątynią stanął drugi zamek drewniany, czyli krzywy z basztami, palisadami i blankami. Dokoła zaczęto wznosić domóstwa.

W ten sposób powstał gród, który od rzeki Wilny nazwę Wilna otrzymał, a do którego Giedymin przeniósł swoją stolicę z Trok.

Lizdejce za wytłómaczenie snu wieszczego w. księżę rozkazał zwać się Radziwiłłem.

(Kojałłowicz, Narbutt, Kirkor).

¹⁾ Góra Zamkowa.



WEJDALOTKA.

Piękna Usparime, licząca szesnastą wiosnę życia, straciła matkę i ojca, który został rozszarpany przez wilki, a że nie miała krewnych, którzyby się nią zaopiekowali, postanowiła zostać wejdałotką, to jest świętą dziewicą i w świątyni strzedz ogień wieczny od zagaśnięcia. Jakoż kapłani dokonali obrzędu poświęcenia. Usparime ubrana w białe szaty z wieńcem kwiatów na głowie, ślubowała czystość.

Upłynęło parę lat. Młoda wejdałotka wyróżniała się z pomiędzy towarzyszek cnotliwością, skromnością i gorliwym pełnieniem obowiązków, to też kapłani nie szczędzili jej pochwał, a nawet sam Kriwe-Kriwejte stawiał ją za wzór innym ofiarnicom.

A jednak jakiś niewytłómaczony smutek, jakaś tęsknota za czemś nieznanem mąciły spokój jej duszy. Nieraz, siedząc przed ołtarzem, wpatrzona w płomień ognia świętego, dawała się unosić

marzeniom w inny nieznaną świat. Czasem, gdy z za murów świątyni dolatywały ją wesołe pieśni młodzieńców i dziewic, ostry ból ścisnął jej serce, a łzy do oczu napływały.

Raz w wiosenną i jasną noc księżycową Usparime, ukończywszy służbę przy ołtarzu, odpoczywała na kamieniu w gaju świętym, otaczającym świątynię. Dookoła panowała niczem nie zamknięta cisza, nie drgnął żaden listek na drzewach, nawet Wilja zdawała się uspioną i, jakby drzemiąc, leniwie wody toczyła; księżyc w pełni, wypłynąwszy wysoko na niebo, zalewał wszystko dokoła łagodnym, smętnym światłem. Gdzieś niedaleko rozlegały się trele słowika, śpiewającego swej lubej pieśń miłosną. Usparime siedziała, obejmując kolana splecionymi dłońmi i wpatrzona w księżyc, — marzyła. Czuła, że życie, jakie dotąd pędziła, już jej nie wystarcza, wiedziała, że istnieje życie inne, życie pełne szczęścia i kochania... I zapragnęła kochać i być kochaną.

I oto, gdy tak siedziała nieruchoma, pogrążona w marzeniach słodkich, nagle posłyszała śpiew. Silny i piękny głos męski śpiewał pieśń namiętną o szczęściu, jakie daje miłość.

Powstała z siedzenia wejdalotka i pragnąc choć zdaleka spojrzeć na śpiewaka, zaczęła z bijącym sercem skradać się między drzewami gaju świętego, aż nagle znieruchomiła drżąca i przerażona. O parę kroków przed nią, oparty plecami o pień potężnego dębu, w świetle księżyca, stał młody rycerz w świecącej zbroi. Był to urodziwy młodzieniec, o dziwnie pięknej twarzy i wyrazistych oczach. Długie jasne włosy spływały mu na ramiona.

Ujrawszy przed sobą tak niespodziewanie uroczą wejdałkę, rycerz narazie przyjął ją za bóstwo, ale cała jej postawa, drżenie, rumieniec wykwitły na policzkach, niebawem przekonały go, że widzi istotę ludzką. Oczarowany jej pięknnością, ujął dłoń dziewczyny i w gorących słowach wyrażał swój zachwyt. Usparime była bliską omdlenia ze wzruszenia, ale opamiętała się i, wyrwawszy dłoń z ręki młodziana, uciekła. Przerazona tem, co się stało, resztę nocy spędziła na modlitwie, błagając bogów o przebaczenie za grzech popełniony.

A jednak, gdy nadeszła noc, gdy księżyc rzucił na ziemię swe promienie i gdy znowu dały się słyszeć słowa pieśni, wejdałka, parta jakąś nieprzewycięzoną siłą, znowu znalazła się pod dębem. Tam już czekał na nią rycerz. Tym razem był on śmielszym i ujrawszy dziewczynę, porwał ją w objęcia i usta ich spotkały się w długim, namiętnym pocałunku.

Odtąd widywali się co noc, aż stało się to, co się stać musiało... wejdałka złamała ślub czystości. Miłość owładnęła nią całkowicie, tak, że zapomniała o całym świecie i zaczęła zaniedbywać swe obowiązki. Omal nie stało się straszne nieszczęście... ogień źle strzeżony już zagasał, szczęściem nastąpiła zmiana i inna wejdałka, dorzuciwszy drew, roznieciła go na nowo.

Zmiana usposobienia Usparime i jej dziwne zachowanie się zwróciły na nią uwagę towarzyszek i kapłanów. Poczęto ją śledzić i wkrótce jej schadzki z rycerzem przestały być tajemnicą.

Zbrodnia była straszną i dla przebłagania bogów winowajczyni powinna była ponieść surową karę ¹⁾.

Sąd, złożony z kapłanów, skazał Usparime na okrutną i męczącą śmierć.

W oznaczony dzień na brzegu Wilji zgromadzili się kapłani, ofiarnicy i przerażone dziewice święte. Wywleczono z lochu, gdzie była zamknięta, nieszczęśliwą dziewczynę i na wozie, zaprzężonym w dwie czarne krowy, przywieziono na miejsce kaźni. Na dany znak zdarto z niej oznaki świętej dziewicy — białe szaty i wianek, poczem skrępowano jej ręce.

Kapłani i ofiarnicy śpiewali grobowymi głosami pieśni, błagając rozgniewanych bogów, aby za winę jednej nie karali wiernych. Niektóre wejdałotki zakrywszy twarze dłońmi rzewnie płakały, gdyż lubiły cichą i dobrą towarzyszkę, a może niejedna w głębi serca rozumiała ją i współczuła.

Miano już przystąpić do wykonania wyroku, który skazywał Usparime na utopienie w rzece w worku razem z psem, kotem i żmiją jadowitą, gdy nagle, niewiadomo skąd, ukazał się młody rycerz z twarzą groźną i z pałającymi oczyma. Miał na sobie zbroję lśniącą, a w ręku trzymał miecz wzniesiony. W całej jego postaci było coś tak nadprzyrodzonego, taka biła od niego groza, że przerażenie ogarnęło zebranych. Jedni, widząc w nim jakiegoś boga, padli na twarz, inni ratowali się ucieczką.

¹⁾ Za złamanie ślubu czystości winną wejdałotkę palono na stosie, lub zakopywano żywą do ziemi, albo też topiono w rzece w worku razem z psem, kotem i żmiją.

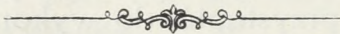
10 Taw

Rycerz przeciął więzy, krępujące wejdalotkę i grożąc mieczem rozkazał kapłanowi, by mu niezwłocznie dał ślub z ukochaną, poczem tuląc w objęciach tylko co poślubioną żonę, rzucił się z brzegu do Wilji i znikł w jej nurtach.

Na wodzie w tem miejscu powstał dotąd istniejący wir.

Odtąd niekiedy, gdy księżyc w pełni wznosi się wysoko na niebo, z rzeki wypływa piękna Usparime, siada na brzegu i, karmiąc niemowlę, cichym głosem nuci piosnkę o swej przygodzie. Czasem w towarzystwie rycerza ukazuje się rybakom i wtedy słyszą przy nich warczenie psa, miauczenie kota i syk żmii.

(Według L. Siemieńskiego, T. Narbutta).





SŁOWIK I RÓŻA.

Gdy wielki książę Giedymin miał w dolinie Świntoroga sen wieszczący o żelaznym wilku, założył wtedy miasto Wilno, a na górze wyniosłej zamek warowny zbudował. Opodał na Antokolu nad Wilją wyznaczył miejsce na ogrody wielkokiążęce, nad którymi dozór powierzył staremu słudze i towarzyszowi wypraw wojennych. Ten, do wojaczki z powodu odniesionych ran już niezdolny litwin, ponury i nietowarzystki, dwie tylko na świecie miłował istoty, mianowicie: kunigasa Giedymina i córkę jedynaczkę, imieniem Skajstoy, która mu po zmarłej przed laty żonie pozostała, a którą sam grubemi rękami wypiastrzał. To też kochał ją, jak umiał i strzegł swego skarbu jedyne, jaki posiadał.

Czas upływał, mała rośła i z dzikiej, śniadej dziewczeczki nieznacznie przekształciła się w urodziwą wysmukłą dziewczę, o ciemnych bujnych włosach, o rzucających snopy błysków oczach,

o białem, gładkiem czole i policzkach, okraszonych delikatnym, gdyby listek róży, rumieńcem. Gdy drobne usteczka rozchyliły się w uśmiechu, a z nich błysnął rząd białych równych perel, zdawało się, że słońce wyjrzało z za chmury i wszystko wokoło światłością oblało.

Kwiat tak piękny niedługo pozostawał w ukryciu. Nieraz, gdy Skajstoy we czwartki wieczorem dążyła do świątyni wszystkich bogów na Antokolu¹⁾, by się pomodlić i zapalić świecę woskową, przechodnie, wyminawszy dziewczynę, odwracali głowy, aby jeszcze raz na nią okiem rzucić. A gdy w czwartek²⁾ przed świątynią Perkunasa słuchała z nawpół rozwartymi ustami sędziwego Kriwe-Kriwejty, ogłaszającego ludowi wolę bogów, chłopcy tłumnie otaczali urodzive dziewczę, pasąc oczy niezwykłą jej pięknocią, i nie jeden młody ofiarnik—wejdałota opuszczał powieki przed blaskiem z jej zrenic bijącym, żywy rumieniec zabarwiał mu czoło i policzki, a westchnienie pierś podnosiło. Sam kunigas dziwił się tak niepospolitej piękności i, klepiąc starego sługę po ramieniu, mawiał żartobliwie:

— Gdybym to ja był o 30 lat młodszy!

Stary dozorca ogrodów rozumiał, iż zbliża się czas, kiedy mu córkę zabiorą i wypatrywał sobie zięcia po myśli.

Na dworze Giedymina był młody litwin Dajnas, który sokofy i jastrzębie książęce miał

¹⁾ Na miejscu tego Panteonu litewskiego jakoby stanął później pałac sapieżyński, przerobiony w XIX w. na szpital wojskowy.

²⁾ Czwartek był u litewskich pogan dniem świątecznym, jak u chrześcijan niedziela.

w swojej opiece. Niepodobny z usposobienia do swych rubasznym towarzyszom, nie lubił ich rozwięzłych hulank i zabaw, lecz szukał samotności. Udawał się zwykle nad brzegi Wilji i tu usiadłszy pod rozłożystym drzewem i wodząc zadumanymi oczami po malowniczych widokach, jakie się przed nim roztaczały, śpiewał. A głos miał przedziwny, jakby nieziemski i bez wzruszenia nie można go było słuchać, tak do duszy przenikał. Nieraz, gdy tak śpiewał, zbierała się za nim gromadka ludzi, którzy słuchali w milczeniu, obawiając się poruszeniem przerwać pieśń. Pieśń płynęła i tony jej przenikały do serc, a tyle w niej było tęsknoty, tyle bólu serdecznego i żalu, że dziewczęta na głos szlochać poczynały, chłopcy ciężkie wydawali westchnienia, a starcy głowy na piersi spuszczały i spracowaną dłońią łzę z powiek ocierali... Lubiono powszechnie Dajnasa, ponieważ był łagodny, nikomu nie ubliżył, nikogo nie skrzywdził, a każdemu chętnie posłużył.

Zdarzyło się, że śpiew Dajnasa posłyszał stary ogrodnik i śpiew ten dziwne w duszy jego uczucia rozbudził. Jeden za drugim, pod wpływem czarujących tonów, wyłaniały się w pamięci obrazy minionych lat: pieszczoty matki, gdy był niemowlęciem, lament płaczek i żałobne pienia kapłanów, gdy zwłoki ojca jego, poległego w boju, na stosie palono i miłosne drżące słowa żony, gdy przed skonaniem szyję jego stygnącym ramieniem objęła i dziecinę opiece jego oddawała... Stary nie czuł, jak łzy, gdyby krople deszczu spływały mu po policzkach, a pierś łkanie rozsadzało, aż ryknął płaczem, tak, iż

śpiewak pieśń przerwał i z miejsca strwożony się porwał...

Stary polubił Dajnasą, zapraszał do swego dworku, a gdy bliżej jego piękną i czystą duszę poznał, przeznaczył go sobie na zięcia. Uroda i wdzięk Skajstoy olśniły młodzieńca. Miłość gorąca, miłość, o jakiej dotąd pojęcia nie miał, owładnęła całą jego istotą i zapaliła w sercu płomień, który go trawił i pożerał.

Ale dziewczyna pozostała obojętną. Nie obudziło się jeszcze w niej serce. Chętnie piosnek Dajnasą słuchała, ale nigdy żywszy rumieniec nie okraszył jej jagód, gdy go po dłuższem niewidzeniu spotkała, nie dostrzegała płomienia w jego oczach, nie odczuwała w jego pieśni miłości, nie słyszała drżenia jego głosu i nie widziała coraz większego smutku i bladeści na twarzy śpiewaka. Nie czuła jeszcze potrzeby kochania; była dzieckiem.

Czasem nudził ją i wtedy uciekała do lasu. Stary martwił się i próbował zwrócić uwagę jedynaczki na miłość, jaką dla niej młody śpiewak pałał, ale mu to jakoś nie szło.

Wreszcie Dajnas stracił wszelką nadzieję, zapadł w smutek bezdenny i zaczął opuszczać się w służbie, za co się nieraz z pięścią księcia zapoznał.

Jednego wieczora, gdy Skajstoy była dlań bardziej niż zawsze obojętną, Dajnas, pomodliwszy się do bogini miłości Mildy, usiadł na stromym brzegu Wilji i zaczął śpiewać. Z piersi jego płynęły dźwięki tak niezwykle, że wiatr zatrzymał się w locie, drzewa przestały szeptać, fale rzeki

stały nieruchome, a ptaki w lesie i koniki polne w trawie zamilkły zasłuchane.

Pływały w przestrzeń tony miłości beznadziejnej, tony żalu i krzywdy, aż nagle urwały się i śpiewak z okrzykiem rozpaczycy rzucił się w nurty Wilji i już się więcej nie pokazał.

Tej samej nocy na gałęzce lipy przed oknem Skajstoy usiadł mały szary ptaszek — słowik i zaczął śpiewać. To bogini Miłda zamieniła Dajnasa w ptaszka, którego trele zbudziły ze snu dziewczynę. Podniosła się z pościeli, otworzyła okno i cała fala dźwięków cudownych wtargnęła do izby. Dziwne, nieznane dotąd uczucie napełniło pierś dziewczęcą. Cała drżąca, tuląc rąbek bielizny do łona, stała w łagodnym blasku księżyca, zasłuchana w śpiewie i w małego ptaszka wpatrzone. Aż pieśń jego przenikła do serca. Zrozumiała co to miłość, rozumiała, że kocha Dajnasa.

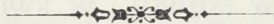
Zbudziła ojca i, tuląc się do jego piersi szerokiej, wyznała, co się w jej sercu dzieje. Ucieszony stary niebawem posłał do zamku pachofka, by młodego śpiewaka przywołał. Próżno go jednak szukano w zamku, w świątyni, w innych miejscach. Nigdzie Dajnasa nie znaleziono. Tylko stary rybak nad ranem opowiedział, iż słysząc śpiew nad Wilją, podpłynął na łodzi, ale śpiewak umilkł i rzucił się w głębinę rzeki.

Odtąd Skajstoy przestała się uśmiechać, usta jej pobladły, z policzków znikł rumieniec, a zamglone łzami oczy już snopów blasków nie rzucały. Smutna słała się jak cień i żyła oczekiwaniem nocy. Za jej nadejściem otwierała okienko swej izdebki. Na gałęzce już siedział

szary ptaszek, który wnet rozpoczynał swą pieśń i do rana śpiewał dla swej ukochanej pieśń miłośną. Skajstoy słuchała skąpana w świetle księżyca, zalana łzami i wyciągała białe ku śpiewakowi ramiona.

Jednego rana stary ogrodnik nie znalazł córki w jej izbie. Okno było otwarte, a przed nim pod lipą wyrósł po nocy krzak stulistnej róży, ale kwiatu na niem nie było. To bogini Milda ulitowała się nad biedną dziewczyną i zamieniła ją w krzak róży, ale za karę kazała mu zakwitać wtedy dopiero, gdy słowik śpiewać przestaje.

Ogrodnik opowiedział księciu o tem co zaszło i wkrótce umarł. Giedymin na miejscu domku ogrodnika zbudował świątynię bogini miłości Mildy i gaj jej poświęcił. Dziś tu stoi kościół ŚŚ. Piotra i Pawła.



POGRZEB KIEJSTUTA.

Bohaterski Kiejstut z synem Witoldem zdradziecko przez Jagiełłę uwięziony, w lochu zamku krewskiego osadzony został.

Wiść o tem lotem błyskawicy przeleciała po całej Litwie i Żmudzi budząc w sercach bolesne uczucia. Któż bowiem nie czcił i nie kochał pana na Trokach, rycerskiego i szlachetnego starca? Ale przerażenie, gniew i oburzenie dosięgły szczytu, gdy w 5 dni potem, jak piorun z nieba, spadła straszna wiadomość, że Kiejstut z rozkazu Jagiełły przez pachołków jego i knechta krzyżackiego w podziemiu krewskiem został uduszony. Przeląkł się Jagiełło swego czynu sromotnego, zadrzał na tronie wielkoksiążęcym przed gniewem ludu i postanowił oczyścić się z zarzutu morderstwa stryja przez urządzenie mu wspaniałego pogrzebu.

Zwłoki Kiejstuta na wspaniałych noszach nieśli z Krewa do Wilna kolejno się zmieniający niewolnicy, poprzedzani przez sto płaczek — *raudietojas*, które głośno zawodząc, śpiewały *raudy*¹⁾ i obficie lały łzy do szklanych łzawnic.

¹⁾ Raudami zwano płacze i pochwały zmarłemu, wygłaszane przez płaczki specjalistki — *raudietojas*.

Przed niemi szli muzykanci i trębacze, ogłaszający lasy brzękiem mosiężnych talerzy, oraz rykiem trąb i rogów. Stu zbrojnych w dzidy, topory i łuki żołnierzy otaczało nosze ze zwłokami, a za nimi kroczył wierny sługa kunigasa, który postanowił umrzeć na stosie przy swoim panu; prowadzono konia kiejstutowego, jego psy, niesiono sokoły i jastrzębie, a w skrzyniach: mitrę, odzież, oręż, pasy złociste i klejnoty. Na czele orszaku na rącznych koniach jechało 20 młodzianów. Ci wywijali mieczami i wyrzucali je w powietrze, odganiając złe duchy i groźnie krzyząc: „Uciekajcie od ciała tego wy diabli!“ (*Ginkiet, bikiet Pikole!*).

Po drodze głośny lament płaczek, dźwięk trąb i okrzyki mężczyzn wywabiały z chat ludność, która tłumnie z żałobnym pochodem się łączyła, to też gdy orszak ku Wilnu się zbliżał, już liczył tysiące głów. Przed miastem w otoczeniu bojarów i rycerzy, przybrany w szaty żałobne, czekał wielki książę Jagiełło. Ujrawszy orszak, zsiadł z konia i z udaną na obliczu boleścią ku noszom się zbliżył, a gdy je na ziemi postawiono, z nieszczerem, bo zbyt głośnym płaczem przypadł do zimnych zwłok stryja.

Znowu wzięto nosze na barki i do zamku niesiono. Tam już czekała ogrzana łaźnia, w której niebawem ciało nieboszczyka obmyto, namaszczono i ubrano w białą koszulę, lśniącą zbroję, pas złocisty, kamieniami sadzony, płaszcz szkarłatny, bogato złotem szyty, oraz czapkę książęcą. Przy boku zawieszono miecz, który w bezwładnej dziś dłoni Kiejstuta, niedawno jeszcze dla wrogów Litwy był strasznym. Szyję zmarłego owinięto

płóciennym ręcznikiem, z zaszytymi w nim monetami, aby książę miał czem wejście na tamten świat okupić.

Tak ubranego wniesiono do największej w zamku dolnym izby i usadzono w krześle. Pomimo gwałtownej śmierci twarz rycerskiego starca zachowała zwykły wyraz szlacheckiej dumy i powagi, którą podnosiła spływająca na piersi biała broda i siwe, ściągnięte nad zamkniętymi powiekami brwi. Obok postawiono beczki z miodem i piwem i szeroko podwoje zamkowe otwarto, aby każdy, bez różnicy stanu i płci mógł kunigasa pożegnać. Przez pięć dni płynęły do zamku książęcego fale ludu i trwało pożegnanie. Pierwszy żegnał stryja Jagiełło, przepijając do zmarłego i z płaczem go pytając:

— Piję do ciebie, drogi stryju, dlaczegoś umarł?

Na to wszyscy obecni powtarzali: — Dlaczegoś umarł?

— Nie miałeś co jeść i pić?

— Nie miałeś państwa, zamków i sług?

— Nie miałeś bogactw, odzienia i klejnotów?

— Nie miałeś żony ukochanej, nie miałeś dzieci? O, książę, dlaczegoś umarł?

Przyprowadzono z więzienia syna zmarłego, Witolda. Ten nie zawodził, twarz miał skamieniałą, usta zaciśnięte z bólu i ani jednej łzy w oku. Zbliżył się do ciała ojca i ująwszy jego zimną dłoń, długo się w kochane oblicze wpatrywał, ślubując w sercu zemstę. Potem nie spojrzawszy nawet na strapionego Jagiełłę, z dumnie podniesionem czołem izbę opuścił i do więzienia powrócił, by tam czekać na pogrzeb ojca.

Tymczasem w dolinie Swintoroga pomiędzy świątynią Perkuna i Wilją na zgłiszczu czyniono przygotowania do pogrzebu. Liczni pachofkowie zwozili z gaju łukiskiego olbrzymie kłody dębowe i sosnowe i pod dozorem starszych układali stosy wysokie, przekładając drzewo suchym mchem i słomą oraz strojąc w wieńce z liści dębowych. Na czterech rogach ustawiono beczki z żywicą i tłuszczem, zaś na osobnym wzniesieniu umieszczono urnę ozdobną, do której miano złożyć popioły, pozostałe po spaleniu ciała.

Na szósty dzień wobec niezliczonych tłumów ludu, który zajął całą dolinę Swintoroga, góry, a nawet parkany i wały zamkowe, wyniesiono na krzesło zwłoki Kiejstuta i umieszczono je na szczycie stosu na wzorzystym kobiercu. Książę jakby z wysokiego tronu zdawał się błogosławić i żegnać lud u stóp jego zgromadzony, a który własną pierś nieraz przed wrogiem zasłaniał, te góry, lasy i rzeki, słowem tę Litwę tak umiłowaną, którą na wieki opuszczał w chwili, gdy był dla niej tak potrzebnym.

Za księciem wstąpił na stos i stanął przy krzesle wierny stary sługa, który przez całe życie dzielił z panem dobre i złe losy i teraz nawet nie chciał się z nim rozłączyć, pragnąc służyć mu po śmierci tak, jak za życia służył. Z wielkim trudem wprowadzono rumaka księżęcego, co go w bojach nosił i w niejednej potrzebie od śmierci ratował. Koń, jakby rozumiejąc, jak straszna śmierć go czeka, rwał się z rąk stajennych, chrapał i stawał dęba; wreszcie pogodził się z losem i dał się na stos wprowadzić. Tu go skrępowano powrozami i po-

walono. Biedne zwierzę leżało nieruchome, z wyciągniętą szyją, z rozrzuconą bujną białą grzywą i tylko z wyrzutem wodziło oczami po zebranych tłumach. Rozmieszczono na stosie powiązane psy myśliwskie, sokoły i jastrzębie, które księciu podczas łowów służyły, a które i w krainie wiecznej szczęśliwości miały mu rozrywki dostarczać. U stóp zmarłego rozłożono potrzebne w przyszłym życiu przedmioty. A była tego mnogość wielka, więc: broń, lśniąca w słońcu bogatemi ozdobami, naczynia kosztowne, szaty i pasy złociste, chleb i napoje, wreszcie sakwa z pieniędzmi. Czekająca księcia długa podróż i wszystkie te rzeczy mogły się przydać.

Na hasło dane przez trębaczy, na rozczyszczone i ubite pole, na którym rozłożono w pewnych odstępach upominki od nieboszczyka, wyjechało na rączych koniach dziesięciu młodych litwinów. Rozpoczęły się gonitwy, którym tłumy z ciekawością się przyglądały. Jeźdźcy ustawieni w szeregu na dany znak zrywali się z miejsca w cwał i w szalonym biegu zręcznie się ku ziemi z koni schylali i chwytały leżącą tu broń, części ubrania, naramienniki i inne dary, które wysoko nad głową podnosili. Tłumy witały zwycięzców gromkimi okrzykami, które echem w górach się odbijały.

Trzeba jednak było z obrzędem pośpieszać, ponieważ z zachodu podnosiła się ciemna, czarna, jak cafun pogrzebowy chmura i szybko na jasne niebo wpełzała. Zagrzmiały rogi i długie trąby, dał się słyszeć śpiew chóralny przeciągły i ponury i z świątyni Perkunasa z pomiędzy dębów odwiecznych wyszli kapłani. Na czele kroczyli parami

młodzi stróże ognia wiecznego — wejdaloci z opuszczonemi powiekami, przybrani w białe kaftany, śpinane na piersiach sznurami i owinięci około bioder białemi przepaskami. Za nimi szli kapłani kriwe, o twarzach poważnych, w wieńcach dębowych i w białych szatach, naszytych u spodu kosmykami włosów bydlęcych. Każdy miał w rękę wysoką zakrzywioną u góry laskę. Dalej, między dwoma starszymi kapłanami szedł najwyższy kapłan Kriwe-Kriwejte, zgarbiony wiekiem starzec, w wysokiej czapce i w powłoczystych białych szatach z wyobrażonem znamieniem Perkuna na piersiach. Jedną ręką wspierał się na lasce wysokiej z trzema zagięciami u góry, w drugiej niósł zapaloną u ognia świętego pochodnię. Orszak zwolna wstąpił na zgliszcze i ku stosowi się zbliżył. Wtedy arcykapłan, złożywszy głęboki ukłon, powtórzony przez wszystkich obecnych, rozpoczął pochwałę zmarłemu księciu i wysławianie jego cnót i zasług. — Zamilkł na chwilę i wzniósł oczu ku górze, jakby czegoś w przestworzach szukał, poczem zawołał wielkim głosem:

— Widzę cię szlachetny kunigasio, widzę cię w zbroi jaśniejącej, jadącego na żarkim koniu pośród nieba ptasią drogą. ¹⁾ W rękę masz trzy gwiazdy i wstępujesz do mieszkania wiecznego szczęścia w orszaku licznych duchów!

I wszystkim się zdało, że również widzą księcia dążącego szlakiem niebieskim. Przesądny i zabobonny Jagiełło był blady i pomieszany.

Po przemówieniu arcykapłan zapalił z czte-

¹⁾ Litwini zwali mleczną drogę ptasią. Cały opis pogrzebu Kiejstuta zaczerpnięty ze starych kronik.

rech stron suche mchy i drwa, a pochodnię na szczyt stosu cisnął. Czerwone i żółte płomyki zrazu zwołna zaczęły lizać kłody dębowe i sosnowe, aż w górę wielkim płomieniem strzeliły, a kłęby czarnego dymu skryły zwłoki księcia. Niebawem cały stos stanął w ogniu. Dało się słyszeć bolesne rżenie konia i skowyt psów. Wejdaloci leli na stos żywicę, zaś kapłani i bojarowie rzucali w ogień szpony orle i niedźwiedzie, aby przy ich pomocy zmarły łatwiej mógł się na górę wiecznej szczęśliwości Anafjelas dostać. ¹⁾

Tymczasem czarna chmura całkowicie niebo pokryła, tak że zapanował mrok, oślepiająca błyskawica rozdarła jej łono, i z przeraźliwym trzaskiem gdzieś w bliskości padł piorun. Stos jednak płonął, gdyby jasna pochodnia. Wtem stało się coś niezwykłego. Oto wśród błyskawic i huku grzmotów rozstąpiła się ziemia i pochłonąwszy stos płonący razem ze szczątkami Kiejstuta, znowu się nad nim zawarła, tak, że nawet śladu nie pozostało. Przerażony lud tłumnie w różne strony pierchnął, a bojarowie uprowadzili do komnat zamkowych nawpół przytomnego Jagiełłę. Tylko kapłani bez cienia trwogi poważnie do świątyni wrócili, by tam zanieść modły do Perkunasa, groźnego władcy piorunów i burzy.

(*Podług starych kronik*).

¹⁾ Według wierzenia pogańskich litwinów, cienie zmarłych muszą się wdzierać na skałę wysoką, niedostępną, nazywającą się *Anafielas*. Dla prędszego dostania się służą pazury zwierząt. Im człowiek był bogatszym, tem trudniejszym był dla niego dostęp na górę. Ubogi lekki jak piórko z łatwością tam się dostawał. Pod górą czatował smok *Wizunas*, który grzeszników odpędzał. Na szczycie skały mieszkała istota boska, pełna sprawiedliwości. Sądzi ona umarłych z ich postępków za życia, wyznacza nagrodę, albo karę wieczną.

STUDZIENKA W KOŚCIELE ŚW. KRZYŻA.

Promienie wiary katolickiej zaczęły przenikać do Wilna już na początku XIV-go wieku, kiedy W. książę Giedymin, pragnąc zapewnić miastu spokój przed Krzyżakami, chociaż sam poganin, sprowadził do Wilna kilku zakonników Dominikanów i Franciszkanów. Nie wiadomo jednak, co się z nimi stało.

Za panowania W. Ks. Olgerda, jego namiestnik Gasztold, który przyjął katolicyzm, sprowadził do Wilna 14 Franciszkanów i osadził ich w swoim ogrodzie, gdzie dla nich niewielki klasztor drewniany wybudował, a całą przestrzeń wysokim i mocnym parkanem ubezpieczył.¹⁾

Nowi apostołowie gorliwie zaczęli głosić słowo Boże i nawracać pogan, czem wzbudzili ku sobie nienawiść kapłanów pogańskich. Skorzystali

¹⁾ Dziś znajduje się na tem miejscu ogród pałacu pobiskupiego.

oni z nieobecności w Wilnie Olgierda i Gasztolda i w r. 1345-ym podburzyli lud, wmówiwszy mu, że Franciszkanie są przyczyną zarazy, która w tym czasie w mieście panowała, że czary i truciznę między lud rzucali i studnie zatrawali. Wzburzony ciemny lud rzucił się na ubogi klasztor i wyłamawszy parkan, porwał siedmiu zakonników, którzy spokojni, uściskawszy się wzajemnie i poleciwszy się Bogu, na klęczkach w modlitwie oczekiwali śmierci. Żelźonych, zbitych niemilosiernie i skępowanych powrozami zawleczono na rynek i tam w miejscu, gdzie dziś stoi ratusz, ścięto. Innym siedmiu zakonnikom udało się wymknąć zawczasu z klasztoru i schronić się w górach antokolskich, lecz niebawem wykryci zostali i przybici do krzyżów. Trzy takie krzyże z ciałami męczenników poganie ustawili na Łysej górze, inne zaś cztery ze stromej góry do Wilenki strącili. Olgierd wróciwszy do Wilna srodze winnych morderstwa ukarał.

Gasztold ze czcią pogrzebał ciała umęczonych zakonników w swoim ogrodzie i nad wspólną ich mogiłą postawił kapliczkę drewnianą, a przy niej kolumnę murowaną z figurą Chrystusa ukrzyżowanego. ¹⁾

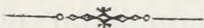
Wraz po tem przy grobie męczenników wytrysnęło źródło czystej, zimnej wody, które ujęto w studzienkę niegłęboką. Woda w niej stoi zawsze na jednej mierze na 1¹/₂ łokcia niżej powierzchni ziemi, ani przybywa, ani ubywa nigdy.

¹⁾ Przypuszczają że znajdujący się w ołtarzu kościoła św. Krzyża Bonifratrów, słynący cudami krzyż pochodzi właśnie z pomnika wzniesionego przez Gasztolda na grobie umęczonych Franciszkanów.

Gdy w r. 1543 biskup Wileński Paweł książę Holszański wybudował na grobie męczenników kościółek św. Krzyża, studzienka znalazła się w jego wnętrzu z prawej strony.

Lud przypisuje wodzie tej studzienki własności lecznicze, zwłaszcza w chorobach oczu.

(Według Strykowskiego, Grzybowskiego, Naramowskiego, Kraszewskiego i innych).





LEGENDA O KRZYŻU W KOŚCIELE KATEDRALNYM.

Sto dwadzieścia lat przetrwała w dolinie Swintoroga świątynia groźnego Perkunasa — króla bogów i ludzi, sto dwadzieścia lat przed jego posągiem płonął nie przygasając ani na chwilę ogień wieczny, a w podziemiu chowały się święte gijwojty, t. j. gady, węże i żaby.

Lecz oto na tronie wielkoksiążęcym zasiadł Jagiełło. Ten, po przyjęciu chrztu, przez małżeństwo z Jadwigą został królem polskim po podpisaniu zobowiązania, iż na Litwie chrześcijaństwo wprowadzi. Jakoż, nie zwlekając, z królową, dworem i księżmi polskimi przybył do Wilna i dzieło nawrócenia pogan rozpoczął.

Gdy tłumy ludu były przez Arcybiskupa Gnieźnieńskiego Bodzętę ochrzczone, przystąpiono do niszczenia wszelkich śladów pogaństwa.

Pierwsza runęła świątynia Perkunasa. Wycięto gaj poświęcony, zburzono Żnicz, ołtarze i ściany,

wybito węże i gady, a posągi bóstw pokruszono i do Wilii wrzucono. — Ostatni Kriwe-Kriwejte Gintowt schronił się w okolice Kowna do Okojni i tam życie zakończył, opłakując bogów, którym wierny do śmierci pozostał.

Nic nie pozostało ze starej świątyni, za wyjątkiem wieży i sklepu, które do naszych czasów przetrwały. Postarano się, aby nic nie przypominało ludowi jego bogów. Na gruzach świątyni, w miejscu, gdzie wznosił się główny ołtarz, zatknięto zwycięzki Krzyż, ¹⁾ którego nie ruszono przy budowie kościoła, wzniesionego przez Jagiełłę na fundamentach zburzonej świątyni i to godło odkupienia pozostało we wnętrzu katedry, wcale do dzisiejszej niepodobnej.

Niedługo, bo tylko dwanaście lat przetrwał ten pierwszy na Litwie kościół Jagielloński. W straszliwym pożarze w r. 1399 zgorzał do szczętu. Wówczas W. Ks. Witold z żoną Anną wzniesli na tem samym miejscu nową, okazalszą świątynię w stylu germańsko-gotyckim z licznymi wieżyczkami. Ale przy budowie kościoła zapomniano postawić krzyż na dawnym miejscu.

Pewnego dnia przybył do katedry z prowincji staruszek ksiądz o długiej siwej brodzie i dziwnie pogodnej twarzy i prosił ks. oficjała Walentego, by go po nowej świątyni oprowadził. Podziwiał wspaniałe jej urządzenie wewnętrzne, bogate i misternie rznięte srebrne lampy i świeczniki i był zachwycony muzyką, złożoną z tręb, obojów, piszczałek, bębnów i kotłów. Żegnając ks. oficjała

¹⁾ Dziś miejsce to znajduje się w katedrze przed wielkim ołtarzem, pośrodku między stallami. Katedra w dzień i w nocy stała otworem.

w gorących słowach wyraził radość z odnowienia świątyni, ale jednocześnie wymawiał, iż zaniedbano postawienia na dawnym miejscu drewnianego krzyża, tej cennej pamiątki. Nie przyjął staruszek zaproszenia ks. Walentego, by z nim skromny posisek podzielił i pośpiesznie katedrę opuścił. Ksiądz oficjał nie zwrócił uwagi na słowa starca i wkrótce o nich zapomniał.

W kilka dni potem biskup Mikołaj był obecny na nabożeństwie w katedrze i, klęcząc u bogato rzeźbionego i obitego adamaszkiem klęcznika, gorąco się modlił. Nagle opanowało go tak wielkie znużenie i senność, iż nie mógł się przezwyciężyć i, skłoniwszy czoło na klęcznik, zasnął. W tej samej chwili ujrzał nieżyjącego już od lat dziesięciu pierwszego biskupa Andrzeja, który, opromieniony dziwnym światłem, wyniósł z zakrystji wielki krzyż drewniany, umieścił go po środku presbiterjum, i, skinąwszy na klęczącego biskupa, zniknął. Biskup Mikołaj wraz potem się obudził i nie mógł opanować wzruszenia i wrażenia, jakie widzenie to na nim sprawiło. Gdy po skończonem nabożeństwie opowiedział o niem zebranyemu księżom, wtedy ks. oficjał Walenty przypomniał rozmowę, jaką miał ze staruszkim księdzem, zwiedzającym katedrę, a którego nikt przed tem nie widział i nie znał. Jak się z opisu okazało ów ksiądz i widziany przez biskupa Mikołaja jego poprzednik Andrzej byli jedną i tą samą osobą.

Gdy wieść o tem doszła do W. Ks. Witolda, ten własnym kosztem wystawił w środku kościoła wspinały ołtarz św. Krzyża, który bogato uposażył i na którym kazał umieścić ciemny krzyż drewniany

z niewielką, lecz misternie z kości słoniowej rznącą figurą Zbawiciela, będący również jego darem.

Ta figura Chrystusa ocalała we wszystkich pożogach i wojnach i dotąd przechowuje się w zakrytych na krzyżu drewnianym, noszonym w procesji w wielkim tygodniu.





JASIŃSKI.

Krzyżacy! Krzyżacy! Straszne to słowo napełniało przerażeniem, rozpaczą i nienawiścią serca litwinów. Ileż bowiem klęsk sprowadzało na kraj zjawianie się tych zakutych w stal mnichów, którzy na płaszczach mieli wyobrażenie krzyża, jako godła miłości i miłosierdzia, w sercach zaś obłudę, złość i chciwość, a w rękach miecze zbrotzone krwią bezbronnej ludności. Ci, niby głoszący naukę Chrystusową apostołowie zbrojni i dumni szli przez Litwę przy blasku płonących osad, wśród jęków i rżenia konających pod ich mieczami, wśród płaczu złupionych i uprowadzanych w ciężką niewolę litwinów, ich żon i dzieci. Po przejściu zbrojnych hufców krzyżackich miasta i osady obracały się w kupy gruzów i popiołów, setki trupów ucieślały drogi i zawiślały na drzewach, a kwitnący i spokojny kraj zamieniał się w pustynię i olbrzymi cmentarz. — Nie dziw tedy, że litwini całym swym prostodusznym sercem nienawidzili krzyżaków, że na pierwszą wieść o ich zbliżaniu się

mężczyźni chwyłali za topory i oszczepy, zaś kobiety z dziećmi szukały schronienia w niedostępnych kryjówkach leśnych i w miastach warownych.

Gdy do Wilna doszła straszna wieść, że krzyżacy przeszli Niemen, wkroczyli do Litwy i dążą ku stolicy, siejąc po drodze śmierć i spustoszenie, w mieście wszczął się popłoch nie do opisania. Z gorączkowym pośpiechem pakowano w skrzynie odzież, naczynia i klejnoty i ukrywano w lochach i kryjówkach podziemnych. Dniem i nocą, wzmacniano zamki, do których schroniła się część mieszkańców z żonami, dziećmi i dobytkiem. Naprawiano ostrokół, opasujący krzywy-gród, sypano wały i pogłębiano fosy. Do warowni zwożono zapasy żywności, broni i prochów, słowem, w mieście i w zamku wrzało, jak w ulu. W trwożnem oczekiwaniu straszego wroga upłynęło dni kilkanaście, aż jednej nocy zajaśniała na niebie krwawa łuna, jako zwiastunka krzyżaków, którzy chcieli mordy i łupów śpiesznie ku Wilnu dążyli. Jakoż nad ranem jaśniejąc od białych płaszców, lśniących zbroi i pawich piór, wpadły do miasta pierwsze oddziały i wnet w kilku jego miejscach strzeliły w niebo płomienie zapalonych domów i podniosły się słupy czarnych dymów. Rozległy się rozpaczliwe krzyki wywlekanych z kryjówek starców, niewiast i dzieci, których szlachetni rycerze przeszywali kopjami, wieszali i znęcali się w sposób niehumaniczny. Ani rozpaczliwe błagania bezbronných ofiar, ani kwilenie niemowląt, odrywanych od piersi matczynej nie były w stanie poruszyć serc kamiennych.

Sprawiwszy rzeź straszną, krzyżacy rozłożyli

się obozem około kościoła Panny Marji na Piaskach ¹⁾ i zajęli samą świątynię, pomordowawszy naprzód kapłanów. Do północy trwała dzika orgja i rozpasanie. Nazajutrz przypuścili szturm gwałtowny do zamku, sądząc, iż z łatwością drewnianą twierdzę zdobędą. Ale mężna załoga godnie nieproszonych gości spotkała. Olbrzymie belki i kamienie runęły z góry na krzyżaków, miażdżąc głowy i piersi, wrząca smoła i ukrop strumieniem lały się z wysokich parkanów i wałów, a kule kamienne wyrzucane z katapult, salwy broni ręcznej i chmury strzał w krótkim czasie zasłały trupem ziemię i fosy ciałami rannych i poległych wypełniły. Krzyżacy, nie spodziewając się tak zaciętego oporu, w nieładzie do obozu się cofnęli. Nazajutrz i w dniach następnych ponawiali szturm, ale zawsze z jednakowym skutkiem. Postanowili tedy wziąć twierdzę głodem, zajęli górę trzykrzyską i na niej wyznaczyli główną kwaterę. W pysznym namiocie zamieszkał mistrz zakonu, inne namioty zajęli komturowie i starszyzna, zaś główna siła pozostała na dawnym miejscu około kościoła.

Czas upływał. W zamkach z przerażającą szybkością topniały zapasy żywności i prochów. Zmniejszono na połowęienne porcje, ale każdy rozumiał, iż niedaleką jest chwila, kiedy trzeba będzie wybierać pomiędzy śmiercią głodową, a niewolą, lub mieczem krzyżackim. Probowano rozpaczliwych nocnych wycieczek, ale nie było sposobu wyparcia wroga, ponieważ roztopione śniegi znowu zamarzły i pokryły górę powłoką lodową, czyniąc ją nieprzystępną.

¹⁾ Kościół Franciszkanów przy ul. Trockiej.

W wojsku litewskiem był żołnierz Jasiński. Niezgrabny i małowówny odznaczał się niezrównaną siłą i mężstwem. Znany był dobrze krzyżakom, którym jego miecz olbrzymi nieraz dał się we znaki.

Jasiński powziął zuchwały zamiar wyparcia z góry Trzykrzyskiej nieproszonych gości. Wyspowiadał się, całą noc krzyżem przeleżał, rano wysłuchał Mszy świętej w katedrze i przyjął Komunię. Tak pokrzepiony na duchu, wybrał z pomiędzy koni najsilniejszego i najbardziej zmyślnego i ostro go podkuł. Było już południe, kiedy Jasiński, dosiadłszy rumaka, przez dolinę Swintoroga i Wilenkę dostał się do stóp góry. Z tej strony nie widać było na górze ani jednego krzyżaka. Jasiński przeżegnał się i wbił ostrogi w boki koniowi, który jednym skokiem znalazł się wraz z jeźdźcem na pochyłości góry. Rozumne zwierzę, wiedzione instynktem, ostrożnie wspinało się po szklistej powłoce lodowej, wybierając miejsca, na których by się mogło na nogach utrzymać. Parę razy omal nie runęli do rzeki. Wolno, krok za krokiem, posuwali się naprzód, aż wreszcie stanęli na szczycie góry. Po chwili Jasiński znalazł się przed wspaniałym namiotem. Przy stole, pokrytym kobiercem i zastawionym jadłem i dzbanami z winem, oparty plecami o poręcz krzesła siedział sam Mistrz zakonu. Znać tylko co skończył obiad i teraz w rozpiętym kaftanie, wyciągnąwszy przed siebie nogi i zwiesiwszy głowę na piersi, drzemał. Był sam w namiocie. Z innych dolatywał gwar głosów, śmiechy, cyniczne pieśni i brzęk puharów. Było widocznem, że cała star-

szyna uctowała, czując się bezpieczną na niedostępnej górze.

Jasiński wpadł do namiotu i zanim mistrz zdążył wydać głos, porwał go, zakneblował usta i skrępowanego na siodło rzucił. Odbyło się to z taką szybkością, że w obozie nikt nie spostrzegł porwania, zwłaszcza, że wejście do namiotu było zwrócone ku spadzistości po której śmiałek na górę się dostał. Stokroć trudniejszym było zejście z góry, bo i koń musiał dzwigać ciężar podwójny i w obozie mogli lada chwilę postrzedz porwanie mistrza. Ale szczęście sprzyja odważnym i Jasiński, choć z trudem niemałym, pomyślnie wszystkie przeszkody przebył i na dole się znalazł. W tej samej chwili na górze wszczął się tumult i hałas, jeden bowiem z knechtów spostrzegł Jasińskiego, gdy ten był już u spadu góry, a w jeńcu, poprzek siodła leżącym, poznał mistrza. Zbiegli się krzyżacy na brzeg góry, ale stali bezradni, ponieważ nie mieli ze sobą broni, by śmiałka ukarać. Dusząc się z wściekłości, musieli patrzeć, jak nienawistny litwin ich wodza uwoził.

W zamku radość i zdumienie granic nie miały, gdy na koniu zdyszonym i pianą okrytym, zjawił się Jasiński i pod nogi komendanta twierdzy rzucił swą zdobycz, w której poznano mistrza krzyżaków, nawpół uduszonego, z twarzą wykrzywioną bólem, wstydem i wściekłością.

Korzystając z popłochu, jaki na wieść o porwaniu wodza w obozie krzyżackim przy kościele na Piaskach powstał, załoga wypadła z warowni i sporo wrogów uśmierciła.

Krzyżacy rozpoczęli rokowania, pragnąc wydo-

stać mistrza z niewoli. Komendant twierdzy zażądał, aby krzyżacy niezwłocznie Wilno i Litwę opuścili, oraz aby zwrócili jeńców i łup. Pod tym tylko warunkiem zgadzał się oddać im wodza. Ale wiedząc, iż szlachetni rycerze nie zwykli byli danego słowa dotrzymywać, zastrzegł, iż dopiero wtedy mistrza im odeszle, gdy już będą poza granicami Litwy. Musieli krzyżacy przystać na te twarde warunki, obiecując sobie pomścić w przyszłości nieudaną wyprawę i na drugi dzień Wilno opuścili. Nie wiodło się im atoli, bo w puszczech już na nich czekali żmudzi i prawie w pień całe wojsko wycięli, tak że tylko niedobitki do Prus wróciły, dokąd po jakimś czasie zjawił się również upokorzony wielki mistrz.

Gdy o bohaterskim czynie Jasińskiego doniesiono królowi, ten dał dzielnemu żołnierzowi szlachectwo, nadał herb Jastrzębiec i górę Trzykrzyską z innemi siedmiu na Antokolu. Takim jest początek rodu litewskiego Jasińskich, którzy w późniejszych już czasach fundowali w katedrze Wileńskiej altarzę, zapisując na nią owe góry, które i dziś do kapituły Wileńskiej należą i są znane jako „Altarja Jasińskich“.

*(Według Paprockiego, Strykowskiego,
Kraszewskiego i Narbutta).*





DOWOJNA

LEGENDA HERBOWNA.

Polska miała dokuczliwego i niebezpiecznego sąsiada w Litwie pogańskiej. Litwini przez puszcze leśne i bagna sobie tylko znanymi drogami wdzierali się w granice Polski, palili wsie i miasteczka, rabowali dobytek, wyrzynali starców i dzieci i tysiące bezbronnego ludu uprowadzali w niewolę.

Zanim wojsko Polskie puściło się w pogoń za rabusiami, już po nich śladu nie było.

Podobną wyprawę na Polskę urządził w r. 1384 W. Książę litewski Jagiełło. Ten sam Jagiełło, który w trzy lata potem przyjął chrzest, poślubił Jadwigę i został królem polskim. Jagiełło w towarzystwie bojarów litewskich i kilku tysięcy zbrojnego ludu niespodzianie wpadł do Polski, splądrow-

wał ziemie Mazowieckie, przepawił się przez Wisłę, spalił wiele osad i miast, między innymi Opatów. Lud bezbronny i przerażony niemógł stawić oporu dzikim najeźdźcom, tem bardziej, że wojska polskie w tym czasie były w innym miejscu zajęte. Kto tylko mógł, uciekał za Wisłę.

Litwini dopuszczali się niesłychanych gwałtów i okrucieństw; zarzynali starców, z niektórych żywcem skórę zdierali, lub na pale wbijali, hańbili niewiasty, a niemowlęta w ogień płonących zagród wrzucali.

Rabując i niszcząc wszystko doszli Litwini aż pod Wiślicz; stąd jednak zawrócili z powrotem i po drodze napadli na Łysą Górę i zrabowali starożytny kościół i klasztor Benedyktynów, słynący z bogactw.

W orszaku Jagiełły znajdował się możny bojar Wileński Dowojna. Młody, urodziwy, wspaniałomyślny i szlachetny, niepodobnym był do swoich towarzyszków i chociaż korzystał z łupu wojennego i brał jeńców, ale nie mordował niewinnych ludzi, nie dopuszczał się okrucieństw i nawet innych od nich powstrzymywał.

Temu to Dowojnie dostała się jako branka panna imieniem Helena, córka możnego rodu szlacheckiego herbu Abdank. Dowojna nie tylko nie nastawał na jej cnotę, nie tylko nie krzywdził, ale przeciwnie otoczył brankę jak najtroskliwszą opieką, dbał o jej wygodę, dogadzał we wszystkim i obchodził się, jak z siostrą kochaną.

Gdy rabowano kościół i klasztor Łysogórski Dowojna zabrał starożytny relikwiarz srebrny, zawierający cząstkę Drzewa Krzyża Świętego i wło-

żył go do toboła razem z innemi zrabowanemi kosztownościami.

Splądrowawszy i spustoszywszy znaczną część ziemi polskiej, Jagiełło powrócił do Wilna z bogatym łupem i prowadząc ze sobą kilka tysięcy jeńców. Na spotkanie W. Księcia wybiegła na ulice miasta cała ludność z żonami i dziećmi i ze śpiewami, klaszcząc w dłonie, sławiła zwycięzców.

Ciekawi przyglądali się łupom, ale kto tylko dotknął tobołu przez Dowojnę przywiezionego, padał martwy, jak piorunem rażony. Dziwił się W. Książę, że tyle ludzi nagle pomarło, a będąc poganinem, przypisywał to czarom.

Gdy Dowojna opowiedział o tem, co się działo Helenie, ta wyznała, iż ukazał się jej we śnie posłaniec Boży — Anioł i powiedział, że Bóg zsyła śmierć na pogan, jako karę za nieposzanowanie Drzewa Krzyża Świętego. Dowojno powtórzył opowiadanie Heleny Jagielle, który rozkazał, by ta stawiała się przed nim z relikwjarzem. Obejrzawszy go z ciekawością i nie bez trwogi, W. Książę obdarzył pannę wolnością i polecił jej, by odwiozła relikwjarz do Polski i wróciła go do kościoła, z którego był zabrany.

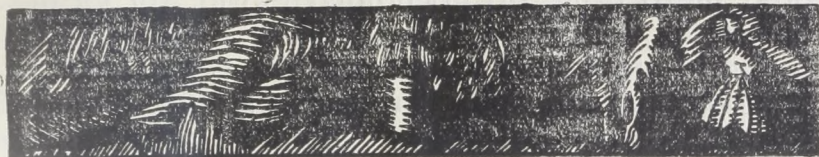
Helena uprosiła Dowojnę, by jej towarzyszył w podróży. Po przybyciu do Polski i po zwróceniu relikwjarza klasztorowi Benedyktynów, podróżni odszukali rodziców Heleny, którzy nie posiadali się z radości, widząc córkę żywą i zdrową. Helena przedstawiła im Dowojnę i opowiedziawszy, jak wiele dał jej dowodów dobroci i wspaniałości, przyznała się, iż pokochała młodego

litwina i chętnie go poślubi, jeżeli on zgodzi się zostać chrześcijaninem, Dowojna z radością przyjął propozycję, padł do nóg rodziców Heleny i prosił ich o jej rękę.

Wkrótce odbył się chrzest Dowojny i jego ślub z Heleną. Nowożeńiec otrzymał szlachectwo polskie i herb żony Abdank, do którego na pamiątkę cudu dodano krzyż. Nowy ten herb został nazwany *Dębno*.

(Według kroniki rękop. litew. Bychowca str. 51—52 oraz kroniki Strykowskiego str. 435).





KOŚCIÓŁ ŚW. ANNY. ¹⁾

Mieszkał w Mińsku sławny mistrz mularski, podeszły już wiekiem Wojciech. Miał on córkę jedyną Marję, poślubioną młodemu uczniowi swemu Janowi. Ten słysząc, że w krajach zachodnich są mistrze, co budują świątynie i pałace, o jakich nawet Wojciech wyobrażenia nie miał, postanowił udać się do obcych krajów i tam u sławnych mistrzów uczyć się budownictwa. Na nic się zdały odradzania Wojciecha, który upewniał zięcia, że nie nauczy się u cudzoziemców nic takiego, czego by on Wojciech nie mógł go nauczyć. Próżno bła-

¹⁾ Jak do wszystkich prawie gotyckich świątyń w Europie są przywiązane dziwne podania, tak również przepiękny kościółek św. Anny w Wilnie ma swoją legendę, którą podaję. W rzeczywistości kościół został wzniesiony staraniem W. Księżnej Anny, żony Witolda w r. 1392 — 1395 przez krzyżackiego mistrza mularskiego z Malborka Jana Puhrbacha. Prawdopodobnie powód do legendy podała różnica, jaką przedstawia niższa część kościoła, ciężka i pozbawiona ozdób, z wznoszącą się na niej facjatą o cienkich misternie z cegły wyrzeźbionych łukach i gzymśach, oraz wysmukłych, jakby koronkowych trzech strzelistych wieżyczkach. Kościółek św. Anny, wybudowany w stylu gotycko-krzyżackim, należy do najpiękniejszych zabytków w naszym kraju.

gała męża czule go kochająca Marja, by jej nie-opuszczał, Jan nie dał się odwieść od powziętego zamiaru, nie zmiękł wobec próśb żony i polecivszy ją opiece teścia, opuścił rodzinne strony. Zwiedził różne kraje, podziwiał wspaniałe, zadziwiające ogromem świątynie, i na ostatku przystał za ucznia i czeladnika do sławnego mistrza mularskiego u krzyżaków, którego dzieła powszechny podziw budziły.

Przez kilka lat nic o Janie nie było słyhać.

Tymczasem w Wilnie żona W. Księcia, świętobliwa i dobra pani Anna postanowiła wznieść ku chwale Bożej nowy kościół i szukała zdolnego budowniczego, ponieważ chciała, by kościół był piękny i okazały. Wskazano księżnej Wojciecha, jako najświetniejszego w kraju. Temu też Anna budowę świątyni powierzyła.

Wojciech z córką niebawem do Wilna się przeniósł i przystąpił do budowy. Założył fundamenty i zaczął wznosić ściany, które szybko rosły i już dosięgły paru sążni. Wojciech obiecywał, iż będzie to arcydzieło, które przewyższy wszystko, co dotychczas stworzył i był przekonany, że kościół ten wsławi jego imię na wieki.

Pewnego wieczora stary budowniczy siedział w swoim mieszkaniu, położonem w pobliżu rozpoczętej budowy i pilnie pracował nad planami, zaś Marja smutna, szyła jakąś część ubrania, ocierając od czasu do czasu rękawem białego rękawa łzy napływające do oczu. Myślą goniła swego ukochanego Jana, o którego srodze się niepokoiła, nie mając żadnych wieści od roku przeszło, kiedy pielgrzym przyniósł jej pozdrowienie od męża i wia-

domość, że jest zdrow, kocha ją, pracuje i uczy się gorliwie.

Gdy tak Wojciech w pracy, a Marja w dumanjach byli pogrążeni, dały się słyszeć szybkie kroki w podwórzu i stukanie do drzwi. Marja wstała, by je otworzyć i po chwili z głośnym, radośnym krzykiem padła w objęcia męża. Powstał z miejsca i sędziwy Wojciech, serdecznie zięcia witając. Gdy zdrożony podróżny pierwszy głód zaspokoił i Marja postawiła na stole kubki ze starym miodem litewskim, Jan rozpoczął opowiadanie o tem, gdzie bywał, co widział i czego się uczył u obcych. Wojciech drwiąco się uśmiechał i wreszcie rzekł:

— Zwiedziłeś dużo świata, wieleś widział i, jak wnoszę, nie marnowałeś czasu, tem lepiej tedy potrafisz ocenić arcydzieło, które ja rozpocząłem tworzyć, a przed którym te włoskie, galskie i krzyżackie budynki, wydadzą ci się lichymi szopami. Jutro pokażę ci plany i samą budowę, która już się sporo posunęła. Przekonasz się, że Wojciech chociaż stary, więcej wart od twoich majstrów, nad którymi tak się unosisz!

Nazajutrz obaj udali się na budowę. Jan spodziewał się ujrzeć istotne arcydzieło, tem bardziej, że Wojciech nie przestawał przechwalać się i pysznić swoim dziełem. Tem większem było zdumienie Jana, gdy zobaczył ciężkie ściany, wyprowadzone na parę sążni ponad ziemią, bez żadnych ozdób i gzymsów. Drzwi łukowe były niezgrabne i nieodpowiednie do projektowanej całości. Nie umiał ukryć pomieszania i na natarczywe zapytania teścia, czy jest zachwycony, odrzekł łagod-

nie: — Nie ojcie, nie tegom się spodziewałem. Jabym to inaczej zbudował. To, co widzę, jest za ciężkie, przygniata, nie pasuje i nie zgadza się jedno z drugim... Jabym uczynił cacko lekkie, przejrzyste, moje gzymsy byłyby utkane z koronek, a wieżycy w niebo by strzelały.

Tu zaczął wykazywać braki, które w budowie postrzegał i marzyć, jakby on to wszystko inaczej wykonał. Wojciech zrazu osłupiał, ponieważ nie mógł pojąć, jak ktoś śmiał ganić to, co on za arcydzieło uważał. Słuchał zięcia ze ściągniętą siwą brwią i zaciśniętymi ustami, aż wybuchnął długo hamowanym gniewem.

— Ha młokosie! Śmiesz ganić dzieło największego w kraju mistrza. Co ty w tem rozumiesz. Przewrócili ci w głowie krzyżacy partacze i zdaje ci się, żeś jest zdolny stworzyć coś lepszego niż Wojciech. Trzeba cię za taką zuchwałość na całe życie ukarać. Słuchaj! tu ścisnął zięcia za ramię. Oddaję ci tę budowę. Prowadź ją dalej według swego gustu, ale pamiętaj zarozumiałcze, że gdy wyprowadzisz koszlawe ściany i krzywe słupy, gdy nie będziesz mógł poradzić sobie ze sklepieniem i na klęczkach błagać mię będziesz o pomoc, stary Wojciech odepchnie cię i śmiać się będzie ze wstydu, jakiego się najesz i z niesławy, która na cię spadnie. Odchodzę! Nie ujrzycie mię aż dokończysz budowy.

Próżno Jan i przełękciona Marja zatrzymywali starca, próżno czułem słowa błagali, by pozostał i dalej budowę kościoła prowadził, zraniony w swej pysze Wojciech nie chciał ich słuchać. Wyrwaw-

szy się dzieciom, szybko się skrył w uliczce i wnet Wilno opuścił.

Musiał tedy Jan wziąć się do roboty. Oddał się pracy z młodzieńczym zapałem, rad, że może w cegle i kamieniu urzeczywistnić swe marzenie. Nie zburzył postawionych przez Wojciecha ścian, lecz na nich, jak na podstawie, zaczął wznosić łuki, wysmukłe, lekkie słupki i gzymsy, wreszcie uwieńczył budowę trzema ażurowymi wieżyczkami, które zdawały się ulatywać w niebo.

Więcej roku trwała budowa i przez cały ten czas stary Wojciech nie pokazał się ani razu i nie dał znaku życia, aż pewnego wieczora niespodziewany zjawił się w mieszkaniu dzieci. Był bardzo zmieniony, postarzał i zgarbił się. Widocznie cios zadany jego pysze mocno go dręczył i bolał. Obojętnie powitał córkę i zięcia i, ledwo rzuciwszy okiem na kilkumiesięczną wnuczkę, którą mu Marja podniosła, usiadł ponuro przy stole i drwiącym głosem zapytał Jana:

— Cóż panie zięciu, słyszałem, żeś ukończył budowę kościoła. Przybywam, by go zobaczyć i ukarać cię za zarozumiałość. Wyobrażam, jak wygląda to twoje arcydzieło. Prowadź mię!

— Ojczy, rzekł Jan łagodnie, ujmując dłoń starca, teraz noc, trudno ci będzie cokolwiek dojrzeć. Jutro rano usuną rusztowania i wtedy przekonasz się, że twój zięć jest godnym ciebie.

— Prowadź mię zaraz. Na niebie księżyc w pełni i dość jest jasno, by moje wprawne oko dojrzało wszystkie twe błędy. Idźmy!

Jan nie opierał się, wziął tylko płaszcz i la-

tarnię i podążył za teściem. Marja, trawiona niepokojem, wzięwszy na ręce uspioną dziecinę, pośpieszyła za nimi. Księżyc skrył się za chmurą i było ciemno. Szli szybko w głębokiem milczeniu. Na tle nieba czarnemi linjami zarysowały się kontury rusztowania. Wojciech z gorączkowym pośpiechem zaczął wstępować na nie, za nim w milczeniu szedł Jan. Marja zatrzymała się na placyku przed kościołem i z niepokojem śledziła dwie postacie, wspinające się coraz wyżej...

Księżyc wyjrzał zza chmury i łagodnem światłem oblał budowę, rusztowanie i dwoje ludzi wstępujących na nie. Wojciech słowa nie mówiąc, zwoła się posuwał, chwilami stawał i bacznie się murom przyglądał. Twarz jego coraz bardziej posępniała i bladła, a w oczach malowało się zdumienie i gniew dziki. Gdy weszli na szczyt rusztowania i przed ich oczami na jasnem tle nieba zarysowała się przezroczysta, jakby nie z cegły, lecz z lekkich pręcików złożona wieżyczka, stary mistrz zachwiał się i kurczowo uchwycił się słupa rusztowania. Był trupio blady, a oczy złowrogim blaskiem pały.

— Ha, syknął, stworzyłeś arcydzieło! Sławny Wojciech żakiem przed tobą. Chyba szatan pomagał ci w robocie. Niechże cię teraz ratuje!

Z temi słowy z całej siły uderzył zięcia pięścią w piersi. Jan zachwiał się, rozkrzyżował ręce i runął z wysokości, ale padając uchwycił się za wystającą deskę i zawisł w powietrzu. Marja prawie nieprzytomna rzuciła się naprzód z krzykiem:

— Janie mój! Ojcie cożeś uczynił? Ratuń go na rany Chrystusowe!

Ale Wojciech, oszalały z gniewu, podjął leżącą u stóp jego cegłę i cisnął ją w Jana. Ten upuścił deskę i z rozbitą głową padł u stóp Marji na kupę gruzu.



BRKUP TABOR TEBRAK
STUDJENSKI



BISKUP TABOR I ŻEBRAK STUDZIENSKI.

Od wczesnego ranka przed pałacem biskupim w Wilnie stały gromadki ludzi; jedni przychodzili, inni, zasiągnąwszy wiadomości, z wolna opuszczali plac z wyrazem smutku i żalu na twarzach. Pomimo licznie zebranego ludu, cisza tu panowała zupełna i nikt głośniejszym nie odezwał się słowem. Przed bramą stało na straży dwóch hałabardników, którzy bronili wejścia do wnętrza. Gdy z pałacu spieszonym krokiem ze spuszczoną głową i z powagą na twarzy wychodził kapłan, albo kleryk, stojący przed bramą mężczyźni i kobiety cisnęli się doń, by wiadomości zasięgnąć. Nad ranem rozeszła się po Wilnie wieść, że sędziwy i powszechnie czczony biskup wileński Wojciech Tabor, zmęczony chorobą walczy ze śmiercią.

Komnaty pałacu biskupiego zapewniali prałaci, księża, panowie i przyjaciele umierającego. Od czasu do czasu przybywał posłaniec od króla Zyg-

munta, by zasięgnąć wiadomości o stanie zdrowia pasterza.

W południe biskup odbył spowiedź, przyjął Przenajświętszy Sakrament i, kazawszy się ubrać w habit zakonny, w miękkim, szerokim fotelu spokojnie oczekiwał śmierci.

Całe życie pasterza było nieprzerwanem pasmem ofiar i poświęceń. Dla siebie niczego nie potrzebował, wiodąc żywot surowy, ale gorliwie służył Kościołowi, Ojczyźnie i powierzonej sobie przez Chrystusa trzodzie. Żaden ubogi nie odszedł z pałacu biskupiego bez wspomnienia, żaden cierpiący bez rady i słowa pociechy. A ilu wdowami się zaopiekował, ile sierot przygarnął i wychował, o tem Bóg tylko, sam biskup i jego kapelan wiedzieli. W sejmie zdanie Tabora zawsze było cennie i szanowane, a i królowie Aleksander i Zygmunt chętnie słuchali rady rozumnego i świątobliwego pasterza.

Największą jednak zasługą biskupa było oprowadzenie Wilna murem obronnym. Gród Giedyminowy, opasany tylko drewnianym parkanem, już nieraz srodze od wrogów ucierpiał. Pustoszyli go krzyżacy, tatarzy, wojska carów moskiewskich i sami książęta litewscy w czasie walk między sobą. Zamek królewski na Turzej górze, opasany zewsząd Wilją i Wilenką, był prawie niezdobyty, ale miasto, nie mające murów, stało bezbronne, tem bardziej, że mieszkańcy nie zawsze byli zdolni skutecznie bronić swych siedzib.

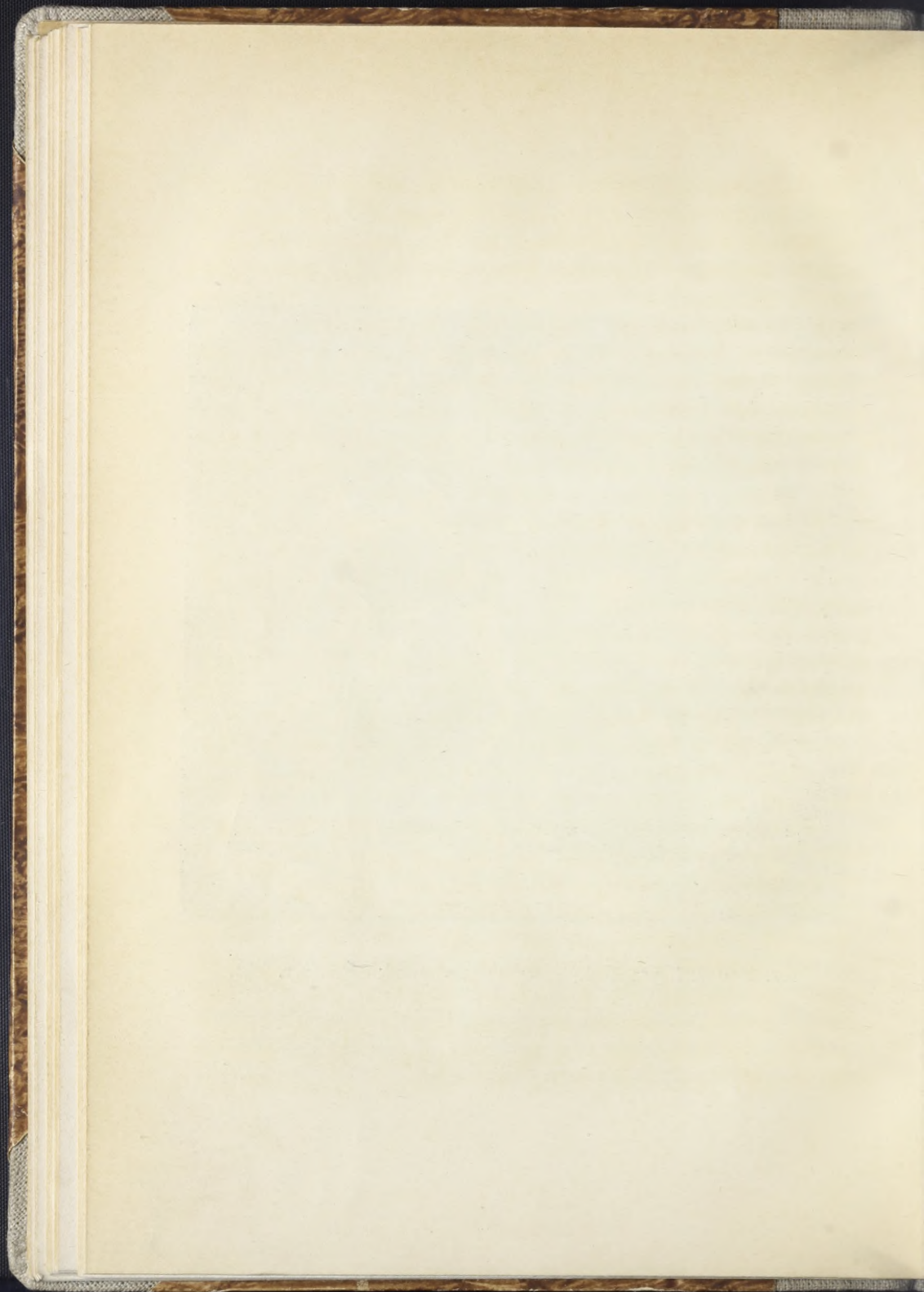
Biskup Tabor, bolejąc nad klęskami, jakich Wilno tylekroć doznawało, postanowił zaradzić złemu, zwłaszcza, że w tym czasie hordy tatarskie

pustoszyły Litwę i Wilnu groziło niebezpieczeństwo. Przedstawił tedy królowi i magistratowi konieczność obwarowania miasta.

Wyjednał u króla rozkaz, aby każdy obywatel dzielnicę, w której ma posiadłość, murem obwiodł, za co na rok jeden był wolny od służby wojskowej i płacenia podatku. Gdy w roku następnym tatarzy, spustoszywszy okolice Mińska i Słucka, zdawali się zmierzać ku Wilnu, przerażeni mieszczanie szybko i gorliwie wzięli się do roboty pod osobistym dozorem biskupa. Sędziwy pasterz na czele uroczystej procesji, w asystencji całego duchowieństwa obszedł miasto, poświęcając i odprawując modły w miejscach, gdzie miały stanąć bramy. Dla wszystkich robotników zastawiono kosztem biskupa stoły z jadłem, poczem przystąpiono do pracy. Kilka tysięcy ludzi stanęło na wyznaczonych miejscach. Nie tylko mieszczanie, kobiety i dzieci, ale również szlachta, magnaci i księża nosili materiały budowlane. Każdy poczuwał się do obowiązku i pragnął bodaj choć jedną cegiełką przyczynić się do dzieła, to też mury rosły z zadziwiającą szybkością. Ale skarb magistratu nie był na tyle zasobny, żeby tak kosztowne dzieło do końca mógł doprowadzić, co widząc biskup Tabor nie pożalował własnej szkatuły, oddając na prowadzenie budowy całkowity dochód z kilku majątności, dostarczając z własnych dóbr robotnika i pożywienie dla pracujących. Olbrzymie musiały to być wydatki, ale świętobliwy pasterz, powodowany skromnością, gdy mur już stanął, spalił wszystkie swe księgi rachunkowe, aby nikt nigdy nie dowiedział się, ile na to grosza wyłożył.



Ks. Butwiłł przed księgą Twardowskiego (str. 78).



I znowu uroczysta procesja z wolna się posuwała wzdłuż nowowzniesionych murów. Prowadził ją biskup Tabor pontyfikalnie przybrany w asystencji kapituły. Za nim szedł król Zygmunt w otoczeniu senatorów i magnatów litewskich. W procesji wzięły udział wszystkie duchowne zakony wileńskie, cechy z chorągwiemi, wojsko i niezliczone tłumy odświętnie przybranego ludu. Domy upięszono kwieciami, z okien zwieszały się drogie kobierce i makaty. Dzwony ze wszystkich kościołów i uroczyste śpiewy ogłaszały powietrze. Muzyka grała, strzelano z dział i rusznic. Od czasu do czasu wstrząsał powietrzem huk wielkiego działa Witoldowego, ustawionego około cerkwi Pationki, czyli Piatnickiej przy ulicy Wielkiej. Przygarbiony wiekiem biskup miał na twarzy wyraz szczęścia i radości. Gdy stawał przed każdą z pięciu bram, padał na twarz i ze łzami dziękował Bogu Najwyższemu, iż mu dzieła szczęśliwie dokonać pozwolił. Z pięciu bram dotąd przetrwała jedna tylko i zasłynieła w całym świecie chrześcijańskim. Jest to brama Miednicka, czyli Ostra z cudownym obrazem Najświętszej Panny.

Pracowity żywot biskupa zbliżał się ku końcowi. Pasterz spokojnie oczekiwał śmierci i żegnał się z otaczającymi go przyjaciółmi, księżmi i kapitułą, gdy do komnaty weszło poselstwo od króla i miasta z burmistrzem na czele.

Na widok umierającego dobrodzieja wszyscy padli na kolana, a burmistrz drżącemi ze wzruszenia słowy dziękował pasterzowi w imieniu króla i miasta za wszystkie dobrodziejstwa, jakie Wilnu świadczył, poczem prosił, by biskup pozwolił ku

wiecznej o nim pamiętce, wznieść jego pomnik na murach, któremi dzięki jego staraniom miasto zostało opasane. Nie zgodził się na to wielki w swej skromności starzec i, dziękując za dobre chęci, rzekł:

— Najlepszym dla mnie pomnikiem będzie mur, który aby był trwałym, wy i wasi potomkowie brońcie go przed wrogiem i podtrzymujcie, by się w gruzy nie rozsypał. Proszę i żądam, aby temu, kto po moim zgonie pierwszy wejdzie do miasta przez Miednicką bramę, było wypłacone z mojej szkatuły 30 złotych...

Tejże nocy żałobne dzwony z wież wszystkich kościołów Wileńskich obwieściły miastu, że biskup Wojciech Tabor zmarł.

O wschodzie słońca, jak tylko otwarto bramy miejskie, pachołkowie, trzymający straż przy bramie Miednickiej, ujrzeli żebraka, który drogą wiodącą z Miednik włókł się na szczydach do miasta. Jak tylko wszedł pod sklepienie bramy, został ku wielkiemu swemu przerażeniu przez pachołków ujęty i do ratusza odstawiony. Tam jeden z rajców odczytał mu ostatnią wolę zmarłego biskupa i po spisaniu aktu wręczył 30 złotych.

Żebrakiem tym był szlachcic Marcin Studzieński. Ten, gdy mu przed laty kilku wskutek przeciągu sparaliżowało obie nogi, próżno szukał ratunku u rozmaitych lekarzy. Nie pomogli mu również alchemicy, zamawiacze i szarlatani, do których się udawał. Kalectwo nie ustępowało, pomimo, że przeleczył znaczną część fortuny i z człowieka zamożnego stał się prawie ubogim. Zastyszawszy, że w Oszmianie mieszka pewien ksiądz

Franciszkanin, sławny ze skutecznego leczenia rozmaitych chorób, Studzieński wyprzedził resztki tego, co jeszcze posiadał i pojechał do Oszmiany. Ale i tu czekał go bolesny zawód, ponieważ po kilku tygodniach kuracji zakonnik oświadczył mu, że sztuka lekarska nic na cierpienie nie poradzi i tylko cud uzdrowić go może. Postanowił tedy nieszczęśliwy kaleka jechać do Częstochowy i tam przed cudownym obrazem Bogarodzicy błagać o uzdrowienie. Wynajął wózek i wieczorem wyjechał z Oszmiany. W pół drogi do Wilna w lesie napadli go zbójcy i, zabiwszy woźnicę, mocno Studzieńskiego poturbowali i, zabrawszy wszystkie, jakie posiadał pieniądze, porzucili go na drodze. W ten sposób Studzieński został żebrakiem i na szczydłach powłókł się do Wilna, nie przeczuwając, co go tu czeka.

Otrzymawszy tak niespodziewanie pieniądze, Studzieński powłókł się podziękować swemu dobroczyńcy i pomodlić się u jego zwłok.

W pałacu biskupim na niskim tapczanie, przykrytym czarnem suknem spoczywał snem wiecznym biskup Tabor, przybrany w ornat i infułę.

Przy ołtarzu księża kolejno odprawiali msze święte, zaś tłumy płaczącego ludu, gdyby fale przepływały przez komnatę żałobną.

Studzieński padł na kolana i gorąco się modlił, a gdy potem zbliżył się, by ucałować ręce zmarłego, zdało mu się, iż od złotych krzyżów, wyszytych na rękawiczkach biskupa, bije niezwykła jasność. Jednocześnie poczuł w całym ciele dziwne osłabienie, gorąco i jakby prąd przechodzący przez plecy i kończyny. Sądząc, że to duszne

powietrze tak go osłabiło, wyszedł na ganek i tu usiadłszy, wnet zasnął.

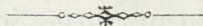
Obudził go stojący na straży halabardnik, który zwymyślał biedaka i brutalnie ze schodów zepchnął, tak, że Studzieński stoczył się na sam dół. Zerwał się przestraszony i, zapomniawszy szcudeł, począł co tchu uciekać, jakby miał zdrowe nogi.

Doznawszy cudu uzdrowienia, Studzieński udał się do kapituły i tu spisano akt, do którego dołączono świadectwo księdza z Oszmiany o nieuleczalnej jego chorobie.

Studzieński zamieszkał na Litwie i za trzydzieści złotych, otrzymanych od biskupa, rozpoczął handel, a tak mu się we wszystkim wiodło, iż wkrótce z żebraka stał się zamożnym człowiekiem. Powodzenie było tak zadziwiającem, że osoby, rozpoczynające jakiś interes, zapraszały Studzieńskiego do spółki, płacąc za sam tylko jego udział znaczne pieniądze, ponieważ było wiadomem, że każde przedsięwzięcie, do którego on należał, świetnie się rozwijało i przynosiło ogromne zyski.

Studzieński na pamiątkę doznanego cudu kazał odlać z czystego srebra wielką tablicę z opisaniem cudu i takową tablicę zawiesił w katedrze w kaplicy Wniebowzięcia. W XVII w. w czasie najścia nieprzyjaciela kaplica została obrabowana i w liczbie innych kosztowności zginęła także wspomniana tablica.

(Według Kojałłowicza, Naramowskiego i Narbutta).





OBRAZ TRÓJREKI ŚW. KAZIMIERZA.

W katedrze Wileńskiej, w kaplicy królewskiej św. Kazimierza pod jego trumną już na samym ołtarzu znajduje się dziwny obraz tego świętego z trzema rękami. Św. Kazimierz w mitrze książęcej i w ponsowej długiej szacie, w dwóch prawych rękach trzyma lilje, w lewej zaś — różaniec. Obraz jest bardzo stary, jak to widać z napisu pod srebrną szatą, który świadczy, że obraz został odnowiony w r. 1594.

Do tego obrazu przywiązana jest następująca legenda. W Wilnie mieszkał malarz, który miał szczególną cześć dla królewicza, ponieważ przy grobie jego niejednokrotnie doznał łask. Gdy papież Leon X w r. 1521 zaliczył królewicza Kazimierza do rzędu błogostawionych, wtedy malarz ów powziął myśl namalowania jego wizerunku. Gdy obraz już był skończony, artysta znalazł, że prawa ręka odchyłona na stronę sprawia wrażenie nieestetyczne i jest za długa. Zakrył ją tedy farbą, a natomiast namalował inną, zgiętą w łok-

ciu. Ale z pod warstwy farby wystąpiła wyraźnie ręka uprzednio namalowana. Na nic się zdało kilkakrotne jej zamalowywanie — ręka wciąż występowała. Wtedy artysta zamalował rękę zgiętą w łokciu, ale i ta z pod farby wystąpiła. Malarz, widząc w tem cud zaniechał zamiaru i taki trójręczny obraz ofiarował do kościoła katedralnego.

Obraz pierwotnie zdobił trumnę św. Kazimierza w sklepie grobowym pod dawną kaplicą królewską, gdy zaś zwłoki świętego patrona Litwy przeniesiono do dzisiejszej kaplicy, obrazek umieszczono na ołtarzu pod srebrną trumną.

(Z akt Kapituły Wileńskiej).





CIEŃ BARBARY.

D. 8 maja 1551 r. w samo południe królowa Barbara, mdlejącemi rękami objawszy za szyję swego królewskiego małżonka i usta swe do ust jego przycisnąwszy, ostatnie tchnienie wydała.

Rozpacz Zygmunta Augusta granic nie miała. Jak przedtem nie odchodził od łoża chorej żony, tak teraz nie można go było oderwać od jej zwłok.

Król, spełniając wolę Barbary postanowił przewieźć jej ciało do Wilna i nie chciał by spoczywała w Krakowie, „ponieważ Jej Królewskiej Mości tu niektórzy za żywota wdzięczni być nie chcieli, niechajże i po śmierci jej tu nigdy nie widzą, ani mają.“

Długo trwała podróż żałobna. Król nie odstępował kolebki ze zwłokami, tuż za nią jechał konno, a jak tylko orszak żałobny zbliżał się do jakiego miasta, albo wsi, Zygmunt August z konia zsiadał i szedł pieszo. Przed Wilnem na spotkanie wyszło duchowieństwo z biskupem na czele. Rozpłakały się dzwony żałobne z wież wszystkich kościołów. Tłumy ludu zaległy ulice miasta. Komnaty na zamku królewskim, katedra i cztery kościoły, w któ-

rych odprawiano egzekwje, były obleczone kirem.

W wypełnionej ludem katedrze odbyło się żałobne nabożeństwo, poczem zwłoki Barbary złożono w podziemiu kaplicy królewskiej, ¹⁾ obok trumny pierwszej żony Zygmunta Augusta, młodziutkiej Elżbiety.

Po pogrzebie ukochanej małżonki król był nieutulony w żalu, nic go nie zajmowało, całe dnie spędzał w jej komnacie, rozpamiętywując szczęśliwe chwile z nią przeżyte, jej piękność, słodycz, jej dobroć anielską. Otoczył się pozostałemi po Barbarze pamiątkami, jej sukniami, klejnotami, robótkami ręcznymi, odczytywał listy przez nią do siebie pisane, pełne miłości i przywiązania. Zygmunt August nie mógł pogodzić się z myślą, że na tym świecie już nie zobaczy swej najukochańszej, a że z wychowania i jako dziecko swej epoki był zabobonny i wierzył w możliwość wywoływania dusz zmarłych za pomocą czarów, zapragnął tedy ujrzeć choć cień drogiej małżonki. ²⁾

Przywołano na dwór wszystkich znanych czarnoksiężników, ale żaden z nich nie podjął się spełnić żądanie królewskie.

Wreszcie stanął przed Zygmuntem Augustem mistrz nad mistrzami — Twardowski, i gdy mu

¹⁾ Dziś kaplica N. P. Marji Niepokalan. Poczęcia. Za Władysława IV zwłoki króla Aleksandra Jagiellończyka, Elżbiety i Barbary przeniesiono do nowej kaplicy królewskiej św. Kazimierza.

²⁾ O wierze Zygmunta Augusta w rzeczy nadprzyrodzone znajdują się liczne wzmianki u Gwagnina, Orzechowskiego, Warszewickiego i innych. Tak, kazał on więzić i stracić czarownicę, zostającą na służbie u Bony, a której czarów król się obawiał. Przedsiębiorcą jaką sprawę zawsze radził się zaufanego astrologa, mistrza Akademii Krakowskiej Proboszczowicza, który wyczytywał z gwiazd, co ma spotkać króla. Gwagnin (kronika polska) powiada, że Zygmunt August wielce interesował się magją i alchemją.

król powiedział, czego żąda od niego, po krótkim namyśle rzekł:

— Miłościwy Panie, daną mi jest moc wywoływania z tamtego świata dusz zmarłych i mogę twe żądanie zaspokoić, ale w takim tylko razie, jeśli przyjmiesz warunki, które ci przedłożę. Oto, zastrzegam, Miłościwy Królu, abys na widok tego, co zdziałam mocą swej sztuki, pozostawał niewzruszonym na miejscu, gdyż w przeciwnym razie nie ręcę za życie i duszę twoją.

Król, ożywiony nadzieją ujrzenia Barbary, przystał na wszystko.

Twardowski zażądał, aby mu dano w zamku dolnym mieszkanie i zostawiono kilka dni czasu dla poczynienia niezbędnych przygotowań.

Głośnego czarnoksiężnika umieszczono w baszcie od strony Wilii. Na wyznaczony dzień i godzinę Zygmunt August sam bez asystencji przybył do Twardowskiego i został przez niego wprowadzony do komnaty, w której miało się spełnić życzenie jego.

Ściany niedużej izby sklepionej były okryte ciemnymi osłonami z jakimiś tajemniczymi jero-glifami. Przy jednej ścianie stały na dywanie cztery spore kadzielnice, a przed niemi w pewnej odległości fotel dla króla. Mrok panujący w izbie ledwie rozpraszały dwie świece woskowe w wielkich czarnych świecznikach.

W środku pokoju na stole okrytym czarnem ze srebrną frendzlą sukniem leżała laska czarnoksiężnika, oraz wielka w skórę oprawna księga pergaminowa, zawierająca rozmaite zaklęcia i formuły wywoływania czarta i osób zmarłych.

Wzruszony Zygmunt August zajął miejsce w przygotowanym dla niego fotelu, zaś Twardowski, włożywszy na się długą o szerokich rękawach czarną szatę z białymi na niej znakami kabalistycznymi, zapalił w kadzielnicach kadzidło i, rozwarłszy księgę, rozpoczął zaklinania, wzywając ducha Barbary, by zstąpił na ziemię i ukazał się oczom swego małżonka.

Z kadzielnic zaczęły podnosić się kłęby białawego dymu. Nerwy króla wskutek trwożnego oczekiwania i tajemniczości otoczenia były w wysokim stopniu napięte; wpatrzony przed siebie zapomniawszy król o całym świecie.

I oto wśród obłoków kadzideł zarysowała się postać niewiasty i zaczęła przybierać coraz wyraźniejsze kształty, aż przed oczyma Zygmunta ukazała się Barbara. Biała, niemal przezroczysta stała z opuszczonymi rękami, łagodnym smutkiem znaczoną twarz miała zwróconą ku małżonkowi, a oczy jej miłośnicie nań patrzyły.

Król, zapomniawszy obietnicy, z okrzykiem zerwał się z siedzenia i, wyciągnąwszy przed siebie ramiona chciał się rzucić ku ukochanej, ale Twardowski powstrzymał go, a tymczasem widzenie rozwiało się.

Zygmunt August padł na fotel i zakrył twarz dłońmi, a głuche łkania wstrząsały jego pierś. ¹⁾

*(Według Wojcickiego, L. Siemieńskiego,
T. Czackiego i M. Balińskiego).*

¹⁾ Twardowski niewątpliwie posiadał wiadomości z dziedziny fizyki i optyki, które mu pozwoliły na tle dymów kadzideł odtworzyć obraz Barbary. Podobnie postępował sławny Cagliostro, gdy za pomocą przyrządów optycznych ukazał Augustowi III postać jego ojca, króla Augusta II.



DUCH ZYGMUNTA AUGUSTA. ¹⁾

Król Zygmunt August po stracie ukochanej Barbary, był niepokieszony, opłakiwał ją i do końca życia nie zdjął żałoby. Nawet po śmierci duch jego odwiedzał miejsca, z którymi pamięć Barbary związana była.

W ciągu kilku wieków, w pogodną noc letnią, gdy księżyc w pełni wschodził na horyzoncie i wysoko na niebo wypłynąwszy, zalewał łagodnym światłem ulice uśpionego Wilna, srebrzył dachy świątyń i domów i iskrzył się w falach Wilii, wtedy na szczycie góry zamkowej ukazywała się postać króla Zygmunta Augusta. Stał on oparty o mur baszty i smętnym wzrokiem spoglądał w dół na miejsca, z którymi tyle łączyło go wspomnień i na miasto, które kochał i do którego rozkwitu i świetności tak bardzo się przyczynił.

Dawniej król niekiedy zstępował z góry, zwiedzał zamek dolny, niegdyś z przepychem przez

¹⁾ Opowiadanie to słyszałem w dzieciństwie od starca 75-letniego, b. żołnierza Napoleonowskiego i uczestnika powstania listopadowego.

siebie wzniesiony, a teraz chylący się ku upadkowi, szedł w ogrody Radziwiłłowskie, w których wyznał swą miłość Barbarze i posłyszał z jej ust, iż jest mu wzajemną, stawał przed pałacem, gdzie Barbara z matką mieszkała i długo mu się przyglądała, a potem wstępował do katedry i tu w kaplicy królewskiej długie chwile spędzał, z tą bowiem kaplicą związane były najbardziej radosne i bolesne wspomnienia. Tu w sklepie grobowym spoczęła pierwsza żona Zygmunta 16-toletnia Elżbieta, tu w noc pamiętną kapłan pobłogosławił przed ołtarzem jego potajemny związek małżeński z Barbarą i tu w kilka lat potem złożył jej zwłoki.

Mijały lata, dziesiątki lat, a za każdym razem, gdy król stawał na górze w świetle księżyca, oblicze jego było coraz smutniejsze.

Czas i niedbałość ludzi niszczyły jedną po drugiej drogę sercu królewskiemu pamiątki, aż wreszcie nic nie pozostało od zamku dolnego i od pałacu Barbary, znikł ogród Radziwiłłowski, katedra zmieniała swój wygląd. Pozostała niezmienną tylko dawna kaplica królewska, ale już nie ma w niej zwłok Elżbiety i Barbary. Przeniesiono je do nowej kaplicy i nie wiadomo co się z temi drogiemi szczątkami stało.

Po raz ostatni ukazał się król Zygmunt August na górze zamkowej przed stu laty. Stał z załamaniem rękami, z głową zwieszoną, a z piersi jego wydobywały się ciężkie westchnienia. Stał długo, poczem, zakrywszy oczy dłońmi, odszedł i już więcej nie wrócił, gdyż nie ma już na co spoglądać.



KSIĘGA TWARDOWSKIEGO.

Podanie o księdze czarownika Twardowskiego jest związane z murami Uniwersytetu Wileńskiego. Podał je ks. Naramowski Jezuita ¹⁾ ze słów ks. Daniela Butwifty S. I., późniejszego rektora Akademii Wileńskiej (1663 r.). Opowiadanie to, słyszane od ks. Butwifty, zapisał Jezuita Szpof.

Znakomity czarnoksiężnik Twardowski posiadał wielką, pisaną na pergaminie i w skórę oprawną księgę, zawierającą rozmaite zaklęcia, czary oraz formuły wywoływania czarta i zmarłych osób.

Niezwykła ta księga dostała się królowi Zygmuntowi Augustowi, ten zaś zapisał ją testamentem razem ze swoim księgozbiorem bibliotece Wileńskiej Akademii Jezuickiej, która mieściła się przy dzisiejszej ulicy Uniwersyteckiej. Jezuici zamknęli niebezpieczną księgę w osobnej szafie i przykuli ją do ściany grubym łańcuchem żelaznym, a nikt do niej zaglądać nie miał odwagi.

¹⁾ Ks. Naramowski. *Facies rerum sarmaticarum et lithuanarum...* ks. I. Rozd. II. str. 52.

Pewnego wieczora pomocnik prefekta biblioteki O. Daniel Butwiłł, ten sam, który później został rektorem akademii, do późna pracował w bibliotece, w której oprócz niego nikogo więcej nie było.

Nagle ks. Butwiłł poczuł nieprzewyciężoną chęć zajrzenia do księgi Twardowskiego i przekonania się, co też ona w sobie zawiera. Po krótkim wahaniu otworzył szafę i rozwarł księgę, ale, jak tylko zaczął czytać, w bibliotece powstał hałas piekielny, dał się słyszeć skowyt, wycie, śmiech, jęki, brzęk łańcuchów i trzask ognia. Pokój napęłnił się swądem siarki, pod sklepieniem zaczęły fruwać i bić się o ściany nietoperze, po podłodze i stołach pełzać węże, jaszczurki i ropuchy, a z szaf i z kątów okazywać się poczwary i straszdyła.

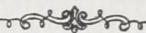
Ks. Butwiłł zdjęty najwyższem przerażeniem, coprędzej zamknął księgę, uciekł do przyległej izby i drzwi za sobą zatrzasnął. Całą noc spędził bez snu, na modlitwie, drżąc ze strachu, a w bibliotece do świtu trwały hece djabelskie; ryk, pisk, hałas i brzęk łańcuchów. Gdy nazajutrz rano ks. Butwiłł w towarzystwie kilku osób wszedł do biblioteki, panował w niej okropny nieład. Stoły i stołki były poprzewracane, na podłodze walały się książki i manuskrypty, powyrzucane z szaf. W powietrzu czuć jeszcze było swąd siarki. Księgi Twardowskiego nie było. Znikła ona, niewiadomo jak i przez kogo porwana. Tylko kawał łańcucha, którym księga była przykuta, zwieszał się ze ściany.

* * *

Księga ta, zwana „*Liber magnus*“ znalazła się

potem w księżnicy Krakowskiej. ¹⁾ Pewien żak słyszał, że ktoby z niej czytał, temu djabeł się objawi i spełni rozkaz, jaki mu wyda czytający. Zakradł się więc pewnej nocy do biblioteki, otworzył księgę i zaczął czytać formuły czarnoksiężkie. Wtem djabeł stanął przed nim w straszliwej postaci i zapytał, czego żąda? Żak, który się nastraszył niezmiernie, zamiast powiedzieć: chcę pieniędzy! jak był sobie ułożył, rzekł: — Chcę pietruszki! Posłuszny rozkazowi djabeł, zaczął nosić pietruszkę i drzwiami i oknami, ale szczęściem, kur zapiał, więc djabeł musiał zaprzestać roboty.

(L. Siemieński. Podania i legendy polskie, ruskie i litewskie str. 158).



¹⁾ J. S. Bandtke dowiódł, że księga ta, uważana dotąd za księgę Twardowskiego, właściwie jest dziełem Bacoła z Pragi, Zidek zwanego. (Bandtke. Historia biblioteki Uniwersytetu Jagiellońskiego. str. 108).



KACPER BEKIESZ.

Jedna z gór Wileńskich, położonych nad Wilenką nosi nazwę góry Bekieszowej, albo Bekieszówki od imienia sławnego wojaka Kacpra Bekiesza.

Podanie głosi, że Bekiesz odznaczał się niezwykłą odwagą i dokonywał szalonych czynów, na jakie nie śmieli się ważyć najwięksi śmiałkowie.

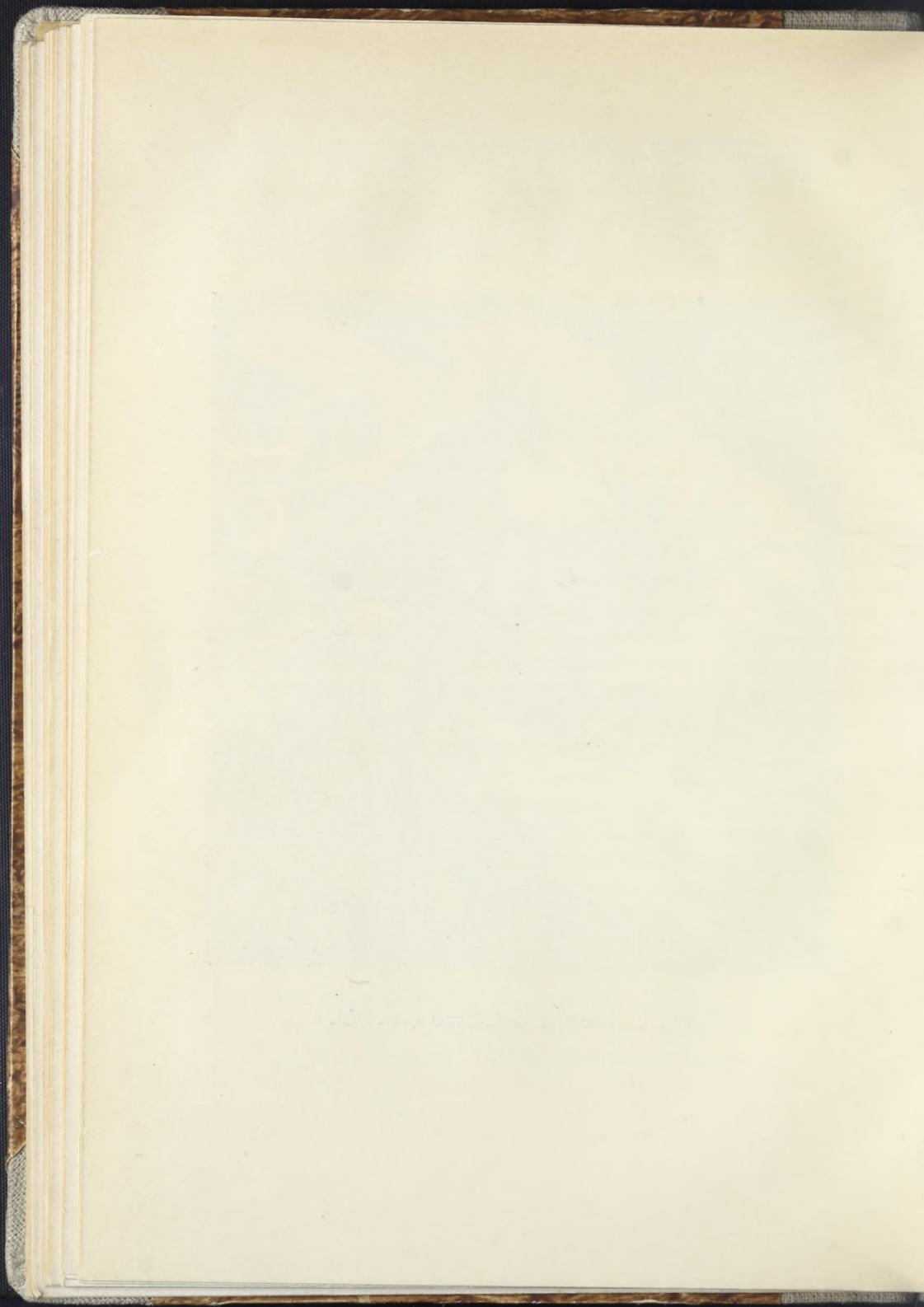
Otóż Bekiesz wobec licznych świadków wjeżdżał konno na stromą i piaszczystą górę i, odpocząwszy na jej szczycie, zjeżdżał tą samą drogą. Była to wycieczka karkołomna, to też przyglądający się jej z brzegu Wilenki ludzie byli przekonani, że Bekieszowi pomaga nieczysta siła, tem bardziej, że był on odszczepieńcem.

Ale do czasu dzban wodę nosi.

Pewnego razu odważny ten wojownik, jak zwykle, szczęśliwie dostał się na górę, ale gdy nazad się spuszczał, koń się potknął i razem z jeźdźcem stoczył się z wysokości do Wilenki. Obaj zabili się na miejscu. Bekiesza pochowano na tejże



Śmierć Kacpra Bekiesza (str. 80).



górze, która odtąd nazwę Bekieszowej otrzymała, i na grobie jego postawiono pomnik.

Takiem jest podanie o śmierci Bekiesza; Nie jest ono jednak zgodne z prawdą.

Węgier Kacper Bekiesz, niegdyś rywal, a potem druh serdeczny króla Stefana Batorego, był dowódcą piechoty węgierskiej, słynął z mężstwa i odznaczył się w kilku wyprawach wojennych. Umarł w Grodnie r. 1580. Ciało jego z rozkazu króla przywieziono do Wilna, a ponieważ Bekiesz należał do szkodliwej sekty antitrynitarjuszów, a właściwie był ateuszem, bo nawet umierając, powiedział: „Nieba nie pragnę, piekła się nie boję,“ przeto nie mógł być pogrzebanym na żadnym cmentarzu chrześcijańskim. Król kazał pogrześć jego ciało na wierzchołku góry piaszczystej nad Wilenką i nad grobem postawił pomnik w kształcie wieżyczki z kopułką. Z czasem, wskutek osuwania się zbocza, wieżyczka znalazła się nad urwiskiem, aż w roku 1843 podczas burzy runęła.

Sława wojenna i śmierć Bekiesza zatarły się w pamięci ludu, natomiast powstało podanie o wieżyczce, postawionej na miejscu, gdzie niby zaskoczyła go śmierć.

(Według J. I. Kraszewskiego).





FIGURA UKRZYŻOWANEGO ZBAWICIELA W KOŚCIELE ŚW. JANA.

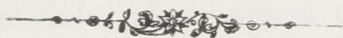
W ołtarzu kaplicy Bożego Ciała (ks. Ogińskich) w kościele św. Jana, wśród licznych wotów znajduje się staroświecka, sporych rozmiarów, rzeźbiona z drzewa figura Chrystusa na Krzyżu. Sprowadził ją w r. 1573 z Norymbergi i ofiarował do kościoła sławny Piotr Skarga.

O tej figurze istnieje następująca legenda:

W XVII w. w czasie wielkiego postu zakrystjan wedle przyjętego zwyczaju osłaniał krepą wszystkie, znajdujące się w kościele krucyfiksy. Jak tylko wszedł do kaplicy Bożego Ciała, poczuł dziwny niepokój. Przystawił jednak do ściany przy ołtarzu drabinkę i wstąpiwszy na nią, już miał osłonić figurę Chrystusa gazą fioletową, gdy wtem usłyszał głos, wychodzący jakby z ust Zbawiciela, by tego nie czynił. Jednocześnie wypadła mu z rąk zasłona i jakby wiatrem została uniesiona w koniec kaplicy.

Zakrystjan pośpieszył do proboszcza, któremu opowiedział, co mu się wydarzyło, proboszcz zaś zawiadomił o tem biskupa. Odtąd ta jedna figura w kościele przez cały czas wielkiego postu pozostaje nie zasłoniętą.

(Według ks. Wojciecha Kojanowicza).





POTEPIEŃCY W KOŚCIELE ŚW. JANA.

Pod kościołem św. Jana w Wilnie znajdują się obszerne sklepy i korytarze podziemne, które zajmują znaczną przestrzeń i ciągną się pod ulicą i przyległymi domami. Sklepy były przepełnione trumnami i szczątkami zwłok, grzebanych tu od kilku wieków.

W r. 1600-ym umarł zamożny mieszczanin Wileński. Bliższa i dalsza rodzina przywdziała żałobę i urządziła wspaniały pogrzeb. Nieboszczyka, ubranego w czamare ze sztamet i czapkę bogatą, złożono do trumny, wybitej wyciskaniem w kwiaty adamaszkim. Na palcach zmarłego błyszcząły kosztowne pierścienie. Nawet izbę, w której ciało spoczywało, kirem całą wybito. W eksportacji wzięli udział: Dominikanie, Bernardyni, pleban świętojański i kapnicy w różnokolorowych kapach i w kapturach z otworami na oczy. Nie żałowano pieniędzy na podzwonne, rozdawano świece woskowe i jałmużnę. Kościół św. Jana był rzeświście oświetlony, a w kaplicy Zwiastowania Najśw.

Panny urządzono wspaniały katafalk. Były tu rozmaite ozdoby, kwiaty sztuczne, emblemata, aniołowie płaczący i inni, gaszący pochodnie życia, były urny i trupie głowy z pieszczelami, była i śmierć z kosą, a wszystko to jaśniało od mnóstwa różnokolorowych lampek, oraz świec wielkich i małych w świecznikach i pająkach.

Wieczorem przeniesiono ciało z mieszkania do kościoła i pozostawiono na noc w kaplicy na katafalku. Klejnoty, których z nieboszczyka nie zdjęto, zwróciły na się uwagę kilku nawiedzających umarłego. Postanowili oni ukraść te kosztowności. W tym celu przytrzymali chłopaka, który miał tej nocy pilnować kościoła i na chwilę go opuścić i, grożąc mu śmiercią, zmusili, aby wrócił do kaplicy i zdjąwszy z palców nieboszczyka pierścienie, podał im takowe przez okno, przy którym mieli go oczekiwać. Nastraszony chłopak nie śmiał odmówić i wrócił do kościoła. Panował tu zmrok i cisza zupełna. Przed niektórymi tylko ołtarzami migotały słabym płomykiem wiszące lampy i rzucały niepewne błyski na twarze świętych na obrazach i odbijały się na kolumnach marmurowych, na załamaniach ram pozłacanych i lichtarzach. Sklepienia kościoła, nawy boczne i kaplicy tonały w zupełnym mroku.

Chłopak, jakkolwiek już nieraz nocował w kościele, tym razem doznawał dziwnej trwogi. Serce mu biło w piersi młotem, oglądał się trwożliwie i śpiesznie głowę odwracał, gdy spotkał się z oczami, patrzącymi nań z obrazu, lub z pomnika. Wśród nocnej niczem niezamęcanej ciszy, odgłos jego kroków echem rozlegał się po obszernej świątyni

i zwiększał jego trwogę. Chłopiec wszedł do kaplicy Zwiastowania, oświetlonej jedną tylko, zwieszającą się przed ołtarzem srebrną lampą, której chwiejący się płomyk zdawał się ożywiać ustawione około katafalku figury aniołów, śmierci z kosą i samą trumnę, przykrytą wiekiem.

Cichość, jaka tu panowała, była wprost przerażająca, to też coraz większy strach chwycił za serce biednego chłopca. Chciał już opuścić kaplicę, ale myśl o zemście, jaka go za progiem kościoła czekała, skłoniła go do zdecydowania się na świętokradztwo. Drżąc ze strachu, wspiął się po stopniach katafalka, zdjął wieko z trumny i ujął za skostniały i zimny palec umarłego, aby jaknajprędzej pozdejmować pierścienie. Ale nieboszyk zaszamotał się w trumnie, cofnął rękę, rozwarł szeroko oczy i wlepiwszy straszny wzrok w twarz chłopca, chwycił go za ubranie i zawołał wielkim głosem:

— Bracia potępieńcy, ratujcie mnie!

W tejże chwili cały kościół zatrzęsł się, rozległ się huk straszliwy, ryk i hałas. Zaczęły pękać kamienie grobowe, rozłamywać się sarkofagi i z łoskotem otworzyły się drzwi, prowadzące do sklepów. Z piekielną wrzawą wstają z trumien umarli i napełniają kościół. Jedni, niadawno pogrzebani, byli przerażająco bladzi, z zapadłymi oczyma, inni już nawpół zgnili, wydawali swąd obrzydliwy, a mięso i skóra zwieszała się na nich strzępami, ale najwięcej było kościotrupów, których nagie kości głucho przy poruszeniach stukwały. Cały ten tłum potępieńców składał się z magna-

tów, senatorów, księży, rycerzy i bogatych mieszczan, nie brakło również kobiet i niemowląt.

Złodzieje czatujący pod oknem, posłyszawszy ten hałas piekielny, pouciekali. Chłopak nawpół przytomny z przerażenia, wyrwał się z rąk nieboszczyka i natrafiwszy przy kolumnie na wejście na schody, wpadł przez nie na chór, drzwi za sobą zatrzasnął i na zasuwę zamknął. Tu bez duszy prawie, ukrył się w jednej z ławek. Ale umarli gonili go. Dopadłszy drzwi zamkniętych, na których był wyrzeźbiony krzyż, cofnęli się i zaczęli znosić kamienie grobowe, ławki, trumny i, ustawiając jedne na drugim, wspinali się na chór. Chłopiec, nie czując się bezpiecznym w swoim schronisku, wdrapał się na sam szczyt organów i ztamtąd z zapartym w piersiach oddechem, z szeroko otwartymi ze strachu oczami śledził potępieńców, którzy wspinali się coraz wyżej i już sięgali chóru. Wtedy w największym przerażeniu przeżegnał się i zawołał:

— Jezus, Marja!

I oto z wysokości, na jaką się dostali, runęli potępieńcy na posadzkę kamienną razem z trumnami i kamieniami grobowymi. Niektóre szkielety rozsypały się, aż czaszki z głuchym łoskotem potoczyły się pod ściany. Po chwili jednak umarli podnieśli się i znowu zaczęli ustawiać trumny i wspinać się na nie. Ale chłopak miał już na potępieńców sposób. Modlił się, żegnał i wzywał Imienia Jezusa i Marji, i za każdym razem nieboszczycy padali.

Zaczęło świtać i gdzieś daleko w mieście dało się słyszeć pianie koguta, bliżej odpowiedział mu

inny. Mrok, panujący w kościele począł powoli się rozpraszać. Leżące w nieładzie na posadzce ciała już nie powstały i chłopak był ocalony.

Gdy rano otwarto kościół, napęłniał go nieznośny swąd zgnilizny. Wchodzący ujrzeni na posadzce setki trupów i kości. Groby były porozwalane i stały otworem wejścia do sklepów, gdzie wszystkie trumny były próżne, za wyjątkiem kilku, w których spokojnie spali snem wiecznym OO. Jezuiti. Oni jedni tylko nie byli potępieni. Chłopca ledwie żywego znaleziono na chórze. Opowiedział o tem, co zaszło i niebawem zachorował na zapalenie mózgu, a po kilku dniach choroby umarł.

Kościół natychmiast zamknięto i przystąpiono do oczyszczenia z trupów, co trwało dwa tygodnie, takie ich było mnóstwo. Wszystkich nieboszczyków przewieziono za Rudnicką bramę i tam za kościołem św. Stefana pochowano.

(Według ks. Naramowskiego S. J.)





BOCIAN ŚW. KAZIMIERZA.

W r. 1604 papież Klemens VIII zaliczył królewicza Kazimierza do rzędu świętych i przysłał bullę oraz chorągiew uwielbienia św. Kazimierza. Uroczystość kanonizacji odbyła się w Wilnie d. 10 maja 1604 roku. Bullę i chorągiew złożono w kościele św. Stefana za bramą Rudnicką, z kąd w uroczystej procesji przeniesiono je do katedry.

Miasto przybrało postać odświętną. Domy na celniejszych ulicach przybrano w rośliny i kwiaty, z okien zwieszały się flandrskie makaty, tureckie i perskie kobierce. Na ulicach, któremi procesja kroczyła, wzniesiono cztery bramy trjumfalne, ozdobione herbami, napisami oraz malowidłami treści religijnej, lub alegorycznej. Wystrzałem armatnim oznajmiono początek procesji, w której wzięły udział: rycerstwo, bractwa pobożne i dobroczynne, magistrat, cechy rzemieślnicze z chorągwiami, wszystkie zakony duchowne i księża świeccy, uczniowie akademji jezuickiej z profesorami oraz niezliczone tłumy ludu. Przez cały czas trwania

procesji grała muzyka, strzelano z dział i rusznic, a we wszystkich kościołach Wileńskich bito we dzwony.

Procesja trwała ośm godzin i przez cały ten czas Wielki Kanclerz Litewski Lew Sapieha przy pomocy dwóch djakonów dźwigał olbrzymią chorągiew uwielbienia św. Kazimierza.

Gdy procesja wyszła z kościoła św. Stefana i kroczyła ulicą Rudnicką, nagle na jasnym lazurze nieba ukazał się punkt, który zwrócił na się ogólną uwagę. Punkt ów zbliżał się i rósł, aż poznano w nim bociana, który spuściwszy się przed samą chorągwią uwielbienia św. Kazimierza niespłoszony gęstemi wystrzałami z dział i rusznic, na chwilę przysiadł na jej wierzchołku, a potem z wolna leciał nad miastem, przed procesją, jakby wskazując drogę pochodowi.

Dziwne to zjawisko tłumaczono wtedy, że, jak bocian wytępia gady i żmije, tak i w tem jego zjawieniu się w uroczystej chwili upatrywać należy przepowiednię blizkiego i niezawodnego wytępienia wszystkich herezji.

(Kwirin Knogler. *Theatrum Sancti Casimiri...*
Vilnae 1604 a.)





KUR KSIĘCIA RADZIWIŁŁA.

Dzisiejszy gmach poczty naprzeciwko kościoła św. Jana w XVI wieku był własnością Radziwiłłów, książąt na Ołyce i Nieświeżu. Radziwiłłowie porzucili wyznanie katolickie i przyjęli naukę Kalwina, którego stali się gorliwymi adeptami. Szczególniej zasłynął w walce z katolicyzmem Mikołaj Radziwiłł Czarny, wojewoda wileński. Gnębił katolików, bezcześcił świątynie katolickie, napadał zbrojnie na konduktu pogrzebowe i nawet dla większego pohańbienia kościoła św. Jana, kazał u ścian jego składać kupy nawozu, a przed głównymi drzwiami wystawił szubienicę.

W pałacu swoim wojewoda urządził zbor, w którym odprawiano nabożeństwa kalwińskie.

Po śmierci wojewody pałac odziedziczyli czerzej jego synowie, którzy, idąc w ślady ojca, nie szczędzili szykan katolikom.

Raz w Wielki Piątek, gdy cała ludność katolicka sucho pościła, umartwiała się i modliła się u grobu Chrystusa w kościele św. Jana, Radziwiłłowie wyprawili w swym pałacu bankiet, sprosiwszy nań mnóstwo gości — współwyznawców.

Wina i miody lały się strumieniem, stoły ugięły się od mięsów i ciast rozmaitego rodzaju. Gwar, śmiechy i pieśni rozlegały się w obszernych komnatach, a gospodarze i goście wysadzali się w dowcipach i drwinach z obrzędów kościoła katolickiego i z przestrzeganego przez katolików postu.

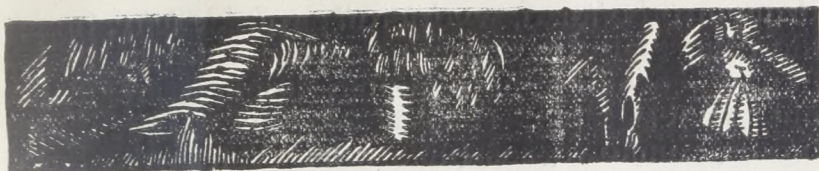
Posługacze wnieśli i ustawili na stołach srebrne półmiski z pieczonem ptactwem. Były tu bażanty, paw z rozpuszczonym, mieniącym się barwami ogonem oraz kur w upierzeniu tak kunsztownie odtworzonym, iż sprawiał wrażenie żywego ptaka, to też goście głośnie okrzykami powitali to arcydzieło, sławiąc talent kuchmistrza, a książę Mikołaj Radziwiłł, najstarszy syn wojewody, zawołał: — Witamy cię kapłonie! wszak nie jesteś papistą i katolikiem, skoroś w wielki piątek zawitał na stół Radziwiłłów!

Ledwie to wyrzekł, gdy kur poruszył się na półmisku, stanął na nogach, zatrzepotał skrzydłami i podniosłszy głowę i rozwarłszy dziób—zapiał.

Przerażenie ogarnęło uczujących. Porwali się od stołów biesiadnych i w popłochu tłumnie do drzwi się rzucili.

Zdarzenie to wywarło na księciu Mikołaju tak silne wrażenie, iż niebawem nawrócił się. Za przykładem starszego poszli młodsi bracia: Jerzy, Albert i Stanisław Radziwiłłowie i z prześladowców kościoła stali się gorliwymi katolikami, a Jerzy nawet zasłynął jako biskup Wileński, kardynał i kandydat do tronu papieskiego. Od jego to godności kardynalskiej pałac Radziwiłłowski odtąd zwał się „Kardynalją.“

(Według Kojałłowicza. Miscellanea p. 69—70).



SZWEDZI W WILNIE.

I.

Przy wylocie ulicy Zamkowej na plac Katedralny przegradzając ją, aż do roku 1838 stała brama zamkowa, przez którą niegdyś na podwórze zamku niższego się wchodziło. Na murze bramy aż do jej zburzenia widoczną była od strony miasta na wysokości paru sążni od ziemi wielka brunatna plama, która pomimo bielienia wapnem, jakoby wciąż występowała. Plama miała dziwną formę, mianowicie przypominała sobą postać człowieka z rozkrzyżowanymi rękami i nieco zgiętymi nogami. Ta właśnie plama na bramie zamkowej dała powód do następującego podania.

W XVIII wieku Szwedzi dwakroć nawiedzili Wilno, mianowicie w r. 1702 i 1706. Podczas tego drugiego najścia pod wodzą pułkownika Dikiera dopuszczali się różnego rodzaju gwałtów i rabunku, wybierając z magistratu, kościołów i klasztorów olbrzymie kontrybucje, rabowali domy obywateli, obdzierali z szat obrazy, księżom, odcho-

dzącym od ołtarza, wydzielali z rąk kielichy, a niektóre kościoły obrócili na koszary i stajnie. Mniemając, że gałka nad kopułą kaplicy św. Kazimierza jest złotą, strzelali do niej z okien nad bramą zamkową, zaś pułkownik Dikier przyglądał się przez lunetę i wtedy dopiero strzelanie przewał, gdy się przekonał, że gałka jest tylko pozłacaną.

Jeden z zuchwałych żołdaków wdarł się do kaplicy Ostrobramskiej, gdzie w ołtarzu wówczas, jak i dziś, znajdował się obraz słynący cudami Najświętszej Panny ze skrzyżowanymi na piersiach dłońmi. Obraz miał bogatą srebrną grubo złoconą i sadzoną drogiemi kamieniami i perłami sukienkę. Wokoło jaśniały złote i srebrne wota, sznury pereł, topazów, krzyże, medale, pierścienie kosztowne i inne ofiary. Te bogactwa wzbudziły w Szwedzie chciwość, to też nie zatrzymał się on przed spełnieniem świętokradztwa. Wszedł na ołtarz i zerwawszy zasłonę, którą obraz był zawieszony, usiłował zedrzeć szatę i klejnoty. Pomimo jednak największego wysiłku, nie tylko nie mógł zdjąć z obrazu sukienki, ale nawet nie był w stanie zerwać żadnego z luźnie zawieszonych wotów. Jakaś niewidzialna siła przytwierdzała je do obrazu. Zawiedziony w nadziei bogatego łupu i oszalały ze złości żołdak dobył miecza i ciął w twarz Najświętszej Pani, tak, że w miejscu cięcia na świętem obliczu niebawem szrama wystąpiła i krwią nabiegła.¹⁾ Ale w tej samej chwili oddzieliła się

¹⁾ Lud przypisuje szramę widoczną na obliczu Matki Boskiej Ostrobramskiej, cięciu miecza. W rzeczywistości powstała ona wskutek rozjęcia się spojenia desek, na których obraz jest malowany.

od obrazu jedna ze skrzyżowanych na piersiach dłoni i z tak nadzwyczajną siłą świętokradcę pchnęła, że ten, wypadłszy oknem, leciał z rozkrzyżowanymi rękami po nad miastem, aż się rozbił o mur bramy zamkowej, pozostawiając po sobie na ścianie bramy krwawą plamę. Plamy tej w ciągu całego wieku niczem nie można było usunąć. Pomimo wielokrotnych naprowadzań farbą, pomimo tynku, plama zawsze występowała. Dziś jeszcze wśród społeczeństwa jest rozpowszechnione mniemanie, że bramę zamkową zburzono właśnie dla tego, że nie było innego sposobu zniszczenia plamy.

(Według T. Narbutta. Pisma hist. pomniejsze i ks. Hilariona. Relacja o cudow. obrazie N. M. Panny Ostrobramskiej r. 1761).

II.

Szwedzi, zajmwszy Wilno w r. 1702, obsadzili żołnierzami wszystkie pięć bram, w tej liczbie i Ostrą.

Żołdacy, zatarasowawszy ciężkie, z żelaza kute wrota, które na potężnych zawiasach od paru wieków zawieszane były, rozłożyli ogień pod sklepieniem bramy. Siedząc i leżąc przy ognisku, raczyli się winem i piwem, zrabowanem z piwnic klasztornych. Jedni śpiewali pieśni sprośne, inni zaczepiali pobożnych, którzy przychodzili, by się przed cudownym obrazem pomodlić, szydzili z nich i porywali dziewczęta w objęcia. Pragnących odprawić nabożeństwo w kaplicy, brutalnie odpe-

dzali, najgrawając się z ich pobożności i z Najświętszej Panny.

D. 14 kwietnia w wielką sobotę rano czterech żołdaków szwedzkich grzało się u ogniska pod sklepieniem bramy i jak zwykle zachowywali się nieprzystojnie. Nagle wstrząsły się ogromne i ciężkie wrota i zerwawszy się z zawias runęły na bluźnierców. Dwóch zabiły na miejscu, dwóch zaś innych okrutnie poraniły, tak że, przewiezieni do szpitala za Wilją, wkrótce pomarli.

We dwa dni potem Antoni Nowowiejski, Oboźny W. X. Lit., gorąco pomodliwszy się do Najświętszej Panny, z garstką żołnierzy wpadł z przedmieścia za Ostrą bramą na ulicę, gdzie obozowali Szwedzi i, zanim się obejrzeni, mnóstwo ich trupem położył, poczem cofnął się nie straciwszy ani jednego towarzysza.

Jako znak wdzięczności Nowowiejski zawiesił przy cudownym obrazie wotum srebrne, które dotąd tu się znajduje.

(Według J. I. Kraszewskiego. „Wilno“ i ks. Hilariona).





O ŁAŃCUCHU OFIARNYM W OSTREJ BRAMIE.

W Ostrej Bramie przy obrazie Najświętszej Panny wiszą łańcuchy, parę łokci długie o czworobocznych ogniach, jakoby srebrne. Z łańcuchami związane jest następujące podanie.

Pewna wdowa młeczarka, mieszkająca na przedmieściu Wilna, przygarnęła chłopca sierotę, który nie miał ani rodziców, ani krewnych. Gdy chłopak podrośł, młeczarka uprosiła proboszcza Ostrobramskiego, by go wziął na posługi. Chłopiec był cichy, łagodny i posłuszny, więc ksiądz polubił go, nauczył czytać i pisać. Chodził on z księdzem do chorych, służył do mszy i spełniał rozmaite drobne posługi, a że był ładny, uprzejmy i usłużny, lubili go wszyscy i dawali po kilka i kilkanaście groszy, ale chłopak tych pieniędzy sobie nie brał, tylko oddawał opiekunce i zwykle u niej nocował.

Był on bardzo nabożnym, szczególnie czcił

i uwielbiał Matkę Boską. Modląc się prosił Boga, by mu dał zostać wielkim człowiekiem.

Raz, podczas nieszporów w kościele Ostrobramskim w święto Opieki Matki Boskiej, chłopiec zasnął i nie postrzeżony zsunął się pod ławkę, na której siedział. Nieszpory się skończyły, wszyscy opuścili kościół, który zamknięto i chłopak sam pozostał.

O samej północy weszło do kościoła dwóch precudnej piękności aniołów w powiewnych szatach i mających u ramion duże śnieżnej białości skrzydła. W rękach mieli zapalone świece, od których bił blask, jak od słońca.

Gdy aniołowie obudzili uspiętego chłopaka, ten okrutnie się przestraszył, zaczął drzeć i płakać, ale rychło się uspokoił, widząc niebiańską słodycz i dobroć, malującą się na ich cudnych obliczach. Padł na kolana i złożył dłonie, jak do modlitwy. Aniołowie wzięli go za ręce i po schodach na górę do kaplicy zaprowadzili. Wszystkie drzwi, w miarę ich zbliżania się, same się otwierały bez szelestu. Gdy stanęli przed ołtarzem, rozsunęły się firanki, zasłaniające obraz, z którego patrzyła przepiękna łagodnym smutkiem znaczone twarz Najświętszej Panny.

Wtedy jeden z aniołów rzekł do chłopca:

— Ponieważ ciągle błagałeś Matkę Boską, byś mógł zostać wielkim człowiekiem, więc Ona w nagrodę za to, żeś zawsze był uczciwym, dobrym i pobożnym, spełni twą prośbę. Ale, ażeby być wielkim, trzeba, ażebyś przedewszystkiem bogatym został.

Aniołowie otworzyli znajdującą się w kaplicy

skarbone, pełną złotych monet i kazali chłopcowi brać z niej tyle, ile unieść zdoła. W chłopcu jednak ozwała się wrodzona uczciwość.

— Nie! rzekł, te pieniądze należą do Matki Boskiej i bez Jej pozwolenia ani jednej monety nie ruszę. Pozwolicie mi pomodlić się.

Ukląkł na stopniach ołtarza i wpatrzony w obraz, gorąco się modlił, a gdy potem drżącym z nieśmiałości głosem zapytał, czy istotnie może ze skarbu skorzystać, Najświętsza Panna z łagodnym uśmiechem skinęła głową na znak przyzwolenia. Dopiero wtedy chłopak napchał, gdzie mógł, pieniądze, do kieszeni, do cholew i t. d.

Aniołowie wyprowadzili go, a drzwi same się na rygle pozamykały, jak było przedtem.

Chłopiec poszedł do opiekunki, a gdy ta pytała, dla czego tak późno wraca, powiedział jej, że musiał z księdzem do chorego w nocy chodzić.

Nad ranem położył pod poduszkę mleczarki kilka złotych monet, poczem pomodliwszy się, wyszedł niepostrzeżenie z domu i puścił się w drogę.

Zaszedł do Rygi i tam u pewnego bogatego kupca służył za chłopca. Ale kupiec był zły, nieuczciwy, oszukiwał ludzi i źle się obchodził ze służbą, to też chłopak wkrótce porzucił go i dostał się do innego poczciwego i służył u niego cały rok. Złoto swoje zaszył do kapotki i tę bardzo starannie chował pod głową, gdy do snu się układał. Zwróciło to uwagę kupca, który zapytał, dla czego tak pilnie chowa starą kapotkę. Chłopak, który służył bez pensji, odparł że dla tego, iż ma ją jedną tylko. Gdy jednak odpowiedź ta nie zaspokoila podejrzliwego kupca, wyznał mu całą

prawdę i prosił, by kupiec przyjął pieniądze na lokatę, a za procent, aby mu dawał wychowanie.

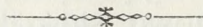
Kupiec miał córkę jedynaczkę, w której chłopak rozkochał się i pozyskał jej wzajemność. Po skończeniu nauk ożenił się z nią i sprowadził opiekunkę, którą otoczył wygodami. Rozpoczął na własną rękę handel, a że był sumiennym i uczciwym w interesach, pozyskał ogólne zaufanie i wkrótce dorobił się olbrzymiego funduszu.

W bogactwie nie zapomniął, komu je zawdzięcza i co roku posyłał do Ostrej bramy bogate ofiary, a między innymi ów łańcuch srebrny na pamiątkę, iż z poniżenia i więzów ubóstwa wyzwolony za łaską Najświętszej Panny, stał się bogatym i wielkim.

(I. Kojatłowicz).

* * *

Według innego podania łańcuch srebrny przy obrazie Matki Boskiej Ostrobramskiej ma pochodzić z daru jakiegoś pana, chorego na wodną puchlinę, który ślubował iż ofiaruje Najświętszej Pannie takiej długości łańcuch srebrny, jak sam był opuchły, a gdy wyzdrowiał dotrzymał ślubu.





HETMAN MICHAŁ PAC.

I.

Na Antokolu u stóp wzgórz malowniczych, gdzie za czasów pogańskich stała świątynia bogini miłości Mildy i gdzie Litwini w końcu czerwca odprawiali święto Lady, w r. 1666 znajdował się niewielki kościółek drewniany św. Piotra. Kościół był zrujnowany przez wojska moskiewskie w r. 1655, stał opuszczony, bez okien i bez drzwi i nabożeństwa w nim nie odprawiano.

Wojsko litewskie w Wilnie, nie otrzymując przez czas dłuższy żołdu, zaczęło się burzyć.

Michał Kazimierz Pac, Hetman W. Litewski, wspólnie z Gosiewskim i Żeromskim byli wyznaczeni komisarzami dla obmyślenia żołdu zrewolutowanemu wojsku. Zli ludzie wicherzyli i buntowali żołnierzy, aż wybuchł bunt. Żołnierze rzucili się naprzód na Gosiewskiego i rozsiekali go, potem wywlekli z kościoła św. Teresy przy Ostrejbramie modlącego się sędziwego wodza Żeromskiego i zabili go czekanem. Popętnwszy te dwa mor-

derstwa, postanowili zgładzić także trzeciego komisarza — Paca. Jakoż otoczyli i przetrząsali jego pałac antokołski, szukając hetmana, by z nim krwawą uczynić rozprawę. Tymczasem udało mu się wymknąć niepostrzeżenie i schronić do zrujnowanego kościołka. Tam padł krzyżem i modląc się gorąco, prosił Boga o poratowanie w niebezpieczeństwie. Wnet poczuł uspokojenie i wstąpiła weń otucha, to też z wiarą, że Bóg go nie opuści i ocali, spokojnie czekał.

Jakoż na razie nikomu z żołdaków nie przyszło na myśl szukać hetmana w ruinach kościołka.

Upływały godzina za godziną. Do uszu hetmana dolatywały wrzaski żołnierzy, które to dawały się słyszeć tuż za ścianami kościołka, to się oddalały.

Wtem Pac posłyszał przy drzwiach szmer, będąc przekonany, że to któryś z żołnierzy odkrył jego kryjówkę, zaczął się modlić, gotując się na śmierć. Ktoś ostrożnie stąpał, starając się nie sprawiać hałasu. W mroku zalegającym wewnątrz kościołka hetman rozeznał jakąś postać, zbliżającą się ku niemu i usłyszał szept:

— Panie, gdzie jesteś?

Ucieszył się Pac, poznawszy głos wiernego starego sługi.

— Uchodźmy Panie, bo lada chwilę wpadną tu żołnierze. Przetrzęśli już pałac i teraz szukają cię w zaroślach.

Ujął dłoń swego pana i wyprowadził go na brzeg Wilii, gdzie już miał przygotowaną łódź. Szybko przeprawili się na drugi brzeg rzeki i wkrótce znaleźli się w miejscu bezpiecznym.

Hetman Pac postanowił wybudować kościół na miejscu, gdzie tak cudownie uratowanym został. Jakoż stanął tu przepiękny, budzący podziw znawców i miłośników sztuki kościół Śś. Piotra i Pawła.

11.

Inne podanie głosi, że pewnego razu hetman Pac, wyszedłszy ze swego pałacu, w bliskości kościoła św. Piotra położonego, wstąpił do nawpół zrujnowanego i opuszczonego kościołka. Tu wśród kupy gruzów i gratów ujrzał krucyfiks z figurą Chrystusa, którego ręce i nogi były połamane, a twarz miała dziwnie smutny wyraz. Widok ten sprawił na hetmanie bolesne wrażenie.

Podniósł z ziemi krucyfiks i, ze czcią ucałowałszy go, zabrał do swego pałacu. Wróciwszy do domu długo ze smutkiem rozmyślał. Tejże nocy i następnych miał Pac cztery razy jeden i ten sam sen, mianowicie ukazywał mu się Chrystus widziany w kościołku i obiecywał, że za litość, jaką mu hetman okazał, Bóg pomoże mu uśmierzyć zbuntowane wojsko litewskie i nad nieprzyjacioły wyniesie.

Pod wrażeniem tych snów powziął Pac myśl wzniesienia kościoła i niebawem do dzieła przystąpił. Nie żałując kosztów, sprowadził z Włoch znakomitych budowniczych, rzeźbiarzy i artystów-malarzy którzy stworzyli arcydzieło, jakim jest kościół Śś. Piotra i Pawła.



ZOŁOTARENKO.

D. 8 sierpnia 1655 r. rano, gdy lud modlił się w kościołach, wpadli do Wilna w liczbie 40 tysięcy kozacy, stanowiący przednią straż wojsk cara moskiewskiego Aleksego. Dowodził kozakami Zołotarenko, który słynął z dzikich okrucieństw, jakich się dopuszczał napadając na bezbronne wsie i miasteczka. Zrabowawszy, palił je, a ludność kazał w pień wycinać, a nie darowywał życia ani starcom, ani kobietom, ani nawet niemowlętom, które wdziewano na łańce, rozbijano główki o mur, lub żywe w ogień wrzucano.

Gdy dzika tłumacza kozacka z wyciem wpadła do Wilna, garstka mieszczan i robotników, uzbroiwszy się jako tako, próbowała stawić jej opór na placu ratuszowym, ale nie mogła podostać przeważającej sile najeźdźców i została wymordowana.

Rozbiegli się po mieście kozacy, rabując mienie mieszkańców, a ich samych mordując. Napróżno część ludności szukała schronienia w kościołach, gdyż wszyscy zostali wyrznięci. Niektórych Zołotarenko poddawał strasznym mękom, żądając wyjawienia gdzie mają ukryte pieniądze

i kosztowności. Obdzierał ludzi ze skóry, palił na wolnym ogniu nogi, wyłupywał oczy, słowem był niewyczerpany w pomysłach zadawania mąk. ¹⁾

W jednym tym dniu zginęło w Wilnie 20 tysięcy osób, poczem kozacy spalili miasto. Pożar trwał cały miesiąc i z kwitającego grodu pozostały tylko dymiące gruzy, tak że gdy przybył tu car Aleksy, „Wilna w Wilnie szukać trzeba było.“

Bóg nie przepuścił Zofotarence jego zbrodni. Został on zabity w bitwie pod Szklowem. Ciało jego przewieziono do Czehrynia i tam w cerkwi na katafalku wystawiono. Zebrało się sporo ludzi ciekawych zobaczyć straszego kozaka, ale wnet rozbiegli się przejęci strachem, ponieważ trup Zofotarenki to się podnosił w trumnie, to znowu opadał, twarz jego była strasznie wykrzywiona, zęby wyszczerzone, a z ust wychodziły jęki i westchnienia.

Nie dawano jednak wiary opowiadaniom świadków tego zjawiska, więc w dzień pogrzebu zbiegowisko było ogromne i niewielka cerkiew drewniana nie mogła wszystkich wmieścić.

Gdy czerncy zaczęli odprawiać nabożeństwo załobne, trup Zofotarenki podniósł do góry ręce, z których krew obficie płynęła i potrzykroć zawołał: „Uciekajcie! Uciekajcie! Uciekajcie!“

W strachu panicznym rzucili się do ucieczki popi, kozacy i cały lud zebrany. W tem cerkiew zapaliła się i ogień pożarł ciało Zofotarenki.

(Djarjusz klasztoru Bernardynów w Wilnie, oraz według L. Siemieńskiego).

¹⁾ W podziemiach kościoła św. Michała dotąd znajdują się dobrze zachowane (zmumifikowane) zwłoki Doroty Siedleszczyńskiej, przełożonej Bernardynek, którą Moskale w okrutny sposób zamęczyli. Ma ona obcięte palce ręki, nos i powykręcane nogi.



WIDMO NA CMENTARZU BAZYLJANÓW. ¹⁾

Na początku XVII wieku, za czasów błogosławionego Jozafata Kuncewicza, który wtedy był archimandrytą klasztoru Oo. Bazyljanów przy kościele św. Trójcy w Wilnie, zmarła w tem mieście pewna stara kobieta. Była to niewiasta złych obyczajów, wiodła życie gorszące, dawała z siebie zły przykład, sprowadziła z drogi cnoty nie jedną uczciwą dziewczynę, nie jedno małżeństwo poróżniła. Nie gardziła żadną bronią dla dopięcia nikczemnych celów. Obłuda, oszczerstwo, krzywo-przysięstwo, nawet trucizna i skrytobójstwo, wszystkie te środki uważała za godziwe, gdy szło o zdobycie pieniędzy, których potrzebowała na zbyt-kowne i rozwiązłe życie.

Uczucie litości było jej obce, nigdy nikogo nie wspomogła w biedzie i nawet szczyła psami

¹⁾ Ks. Naramowski. *Facies rerum sarmaticarum et lithuanarum*. T. I. Cz. IV str. 125—127.

ubogich, którzy zwracali się do niej o jałmużnę. Powszechna pogarda i nienawiść otaczały niegodziwą kobietę, to też nikt jej nie żałował, gdy po pewnej nocy znaleziono ją w łóżku martwą. Dalecy krewni, którzy się zjechali na wieść o śmierci bogatej ciotki, podzielili się pozostałym po niej spadkiem, zaś ciało pogrzebali na cmentarzu przy kościele św. Trójcy.

Za życie gorszące grzesznica ta po śmierci gorzała w piekle, a ponieważ potępieńcy są zwykle niespokojni, więc i sąsiedztwo pogrzebanej starej kobiety było dla mieszkających obok klasztoru Oo. Bazyljanów bardzo nieprzyjemne.

Z nastaniem nocy, gdy wszystko usypiało, na cmentarzu ukazywało się straszne widmo kobiety o potarganych włosach, o czerwonej, okropnie wykrzywionej twarzy i o pałających dzikim ogniem oczach. Potępiona miała skute ręce i nogi, a ciało jej gorzało płomieniem. Mara ta jęcząc i potrząsając kajdanami włóczyła się po cmentarzu do koła kościoła i nawet przenikała do jego przedszionka.

Sąsiedzi spędzali nocę bez snu, drżąc z przerażenia, wreszcie udali się do błog. Jozafata i błagali go, by wrócił im spokój i święte miejsce od upiora uwolnić.

Świętobliwy archimandryta w towarzystwie braciszka zakonnego udał się w nocy do kościoła i tam gorliwie się modlił.

Jak tylko na wieży ratuszowej wybiła północ, dał się słyszeć straszny rumor i hałas, pochodzący z zewnątrz świątyni, tak że przerażony braciszek przypadł do kolan kapłana, trzęsąc się ze strachu.

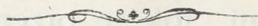
Błogosławiony Jozafat wziął do jednej ręki puszkę z Przenajświętszym Sakramentem, a do drugiej zapaloną gromnicę i skierował się ku drzwiom kościelnym. — W tej chwili okropny wichur zaczął trząść murami wielkiej i pustej świątyni, ze świstem wdarł się do jej wnętrza, i zgasił wszystkie lampy, za wyjątkiem gromnicy, którą Jozafat w rękę trzymał. Rozwarły się podwoje i ukazała się straszna furja, płonąca płomieniem, jęcząca i brzękająca kajdanami. Z ust jej toczyła się krwawa piana, a oczy dziko obracały się w orbitach.

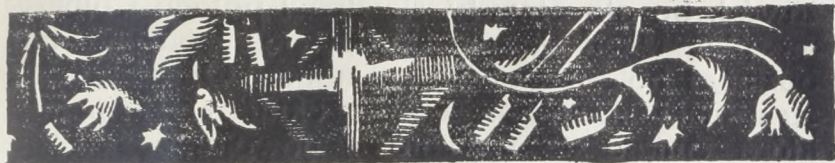
Jozafat, wezwawszy pomocy Boga, począł ją żegnać puszką i gromnicą i wielkim głosem rozkazał, by szła tam, z kąd przyszła. Widmo rzucało się i wiło, ale święty wciąż je gonił i żegnał, aż zwinęło się i z jękiem zapadło się pod ziemię na cmentarzu. Miejsce to Jozafat łaską naznaczył, poczem wrócił do kościoła i resztę nocy na modlitwie spędził.

Jak tylko rozświtało zwołał ludzi i kazał w tem miejscu kopać. Jakoż znaleziono trupa kobiety o okropnym wyglądzie. Był cały czerwony, o rozwartych oczach i wyszczerzonych zębach. Na rękach i nogach były głębokie ślady od kajdanów.

Błogosławiony Jozafat kazał zakopać trupa za miastem na pustem miejscu i na mogile ułożyć krzyż z kamieni.

Odtąd ustały strachy nocne i tylko pamięć o nich pozostała.





SKARB ZAKŁĘTY NA BAKSZCIE.

Niegdyś na Bakszcie mieszkał we wspaniałym pałacu magnat tak bogaty, że sam nie wiedział dobrze, ile skarbów posiada. Komnaty pałacu i piwnice zapełnione były złotem, srebrem, klejnotami, drogiemi sprzętami, dywanami, futrami, kosztowną bronią i naczyniem.

Bogacz ów miał córkę jedynaczkę, która słynęła z piękności, ale również znaną była z dumy i nieuczynności. Pogardzała ona wszystkimi starającymi się o jej rękę, ponieważ uważała, że nie są jej godni. Z istot żyjących dumna panna lubiła tylko swego psa i oswojonego koguta i nigdy się z nimi nie rozłączała. Po śmierci ojca, panna zostawszy dziedziczką pałacu, obszernych włości i ogromnych bogactw, stała się jeszcze nieprzystępniejszą.

Pewnego wieczora na podwórzu pałacowe wszedł ubogi staruszek, który idąc ze stron dalekich i widząc pałac wspaniały, spodziewał się, że otrzyma tu posilek i wsparcie. Spotkał go jednak

zawód, bo oto otwarły się drzwi pałacu i olbrzymi pies rzucił się na starca, poszarpał na nim odzież i boleśnie ugryzł w nogę. Oglądając się za ratunkiem, żebrak ujrzał w oknie piękną pannę, która śmiała się i wcale o odwołaniu psa nie myślała. Oburzony takim brakiem serca, starzec zawołał: — Bodajbyś ze swoim pałacem pod ziemię zapadła! Też nocy nad Wilnem szalała burza; czarne chmury skłębiły się nad miastem, lejąc potoki wody, wicher łamał drzewa i zrywał dachy, ogniste błyskawice co chwilę przerywały chmury. Jeden z piorunów uderzył w pałac, który zapadł się pod ziemię, że ani śladu po nim nie zostało.

Wiele lat upłynęło od tego zdarzenia. Opowiadają ludzie, że nieraz w nocy słychać na Bakszcie pod ziemią płacz i jęki, szczekanie psa i pianie koguta.

Pewnego wieczora, młody człowiek, mieszkaniec Wilna, używając przechadzki, wstąpił na wzgórze baksztańskie, a będąc znużonym, położył się na trawie i usnął. Przez sen posłyszał wychodzące z pod ziemi pianie koguta i skowyt psa; doszedł go również głos niewieści, błagający, aby wstąpił do lochów i pomodlił się za grzesznicę, skazaną, by strzegła skarbów, których za życia nie umiała używać. Modlitwą uwolni ją od kary, a sam posiedzie skarby, znajdujące się w podziemiu. Wybawca powinien był wziąć ze sobą wszystko, co do nabożeństwa potrzebnem być może, zaś rozpoczętą modlitwę miał koniecznie dokończyć. Jeśliby tego warunku nie dopełnił, cały układ ginie.

Nazajutrz młodziemiec, wzięwszy ze sobą ksią-

żkę do nabożeństwa, krucyfiks, dwie świece woskowe z lichtarzami i wodę święconą, udał się na Baksztę i tu odrazu znalazł wejście do podziemia.

Gdy zagłębił się w szeroki, sklepiony korytarz podziemny, ujrzał w oddaleniu słabe światełko, które w miarę zbliżania się, stawało się coraz jaśniejsze, chociaż nie widać było źródła, z którego wychodziło. Przy ścianach stały wielkie kufry żelazne, a w nich worki ze złotem, beczki okute, napełnione brylantami, rubinami, szmaragdami i sznurami pereł, szkatułki z klejnotami, tuż stało mnóstwo przedziwnej roboty złotego i srebrnego naczynia, leżała broń, sadzona drogiemi kamieniami, szczerozłote łańcuchy, bogate pasy i inne kosztowne przedmioty. Na straży tych skarbów nieprzebranych siedziała zakłeta dziewica niezwyklej urody. Ubrana w bieli i nieruchoma, miała twarz i ręce zupełnie białe, jakby wykute z białego marmuru i robiła wrażenie posągu kamiennego.

Młodzieniec postawił na skrzyni krucyfiks, obok lichtarze ze świecami, które zapalił, poczem pokropił na cztery strony wodą święconą i ukląkwszy, zaczął gorliwie się modlić. Gdy, mówiący Anioł Pański, rozpoczął długie psalmy pokutne, dziewica drgnęła, z piersi jej wydobyło się westchnienie, a lica jej zaczęły się zabarwiać, ożywiać i odmalowała się na nich radość! Już młodzieniec do połowy przeczytał psalmy, gdy raptownie, nie wiedzieć z kąd, wszczął się wiatr, a świece paląc się coraz szybciej spływać poczęły, tak że płomień nie mógł już objąć zbyt długich knotów, które należało jaknajprędzej obciąć, ale właśnie mło-

dzieniec zapomniał zabrać szczypce. Zamiast objaśnić świece palcami, stracił głowę i przerwał modlitwę. W tej samej chwili świece zgasły, rozległ się w ciemności jęk bolesny i okrzyk rozpaczliwy: — „Zgubioną jestem na zawsze!“ Pies leżący u stóp dziewicy podniósł głowę i zawył żałośnie. Gdzieś w głębi podziemia dał się słyszeć śmiech szyderycy i echem odbił się w załamaniach lochu.

Ziemia się rozwarła i z głuchym brzękiem zaczęły w głąb jej zapadać kufry ze złotem, klejnoty i inne kosztowności. Gdy młodzieniec na nowo świece zapalił, nie ujrzał już ani skarbów, ani dziewicy, tylko w miejscu, na którym siedziała, zobaczył jakby niski zrąb studni, a w niej wodę krwawo zabarwioną ¹⁾. Nieznośny swąd napełniał podziemie i zmusił młodzieńca do ucieczki.

(Według J. Narbutta i innych).



¹⁾ W prawej odnodze lochów na Bakszcie istotnie jest studnia, w której woda ma kolor czerwony z powodu zawartości w niej żelaza. Zrąb studni, nieźle zachowany, ledwo wystaje po nad powierzchnią gruntu. Według innego podania ludowego, krwawe to źródło miało wytrysnąć po morderczej bitwie z Krzyżakami, którzy wycięli całą załogę, broniącą zamczku na Bakszcie.



DWÓCH PRZYJACIÓŁ.

Dwóch przyjaciół, spędziwszy wesoło kilka godzin w gospodzie, wyszło na przechadzkę. Gdy znaleźli się w pustym miejscu około Czarciéj góry, ¹⁾ spotkali dwóch nieznajomych uzbrojonych ludzi. A ponieważ ani oni, ani ci ludzie nie chcieli ustąpić z drogi, więc wszczęła się kłótnia, a następnie bójka. Dobyto mieczów i rąbano się zapamiętale. Jeden z przyjaciół ciął przeciwnika, który padł z rozpiętą głową. Na hałas i szczyk oręża nadbiegli pefniący straż uzbrojeni pachofkowie miejscy, co widząc ten, który stał się zabójcą, zbiegł, korzystając z ciemności, zaś jego przyjaciel został pochwycony, odprowadzony do ratusza i nazajutrz przed sąd stawiony.

Próżno się zaklinał i przysięgał, iż jest niewinny zabójstwa, sąd skazał go na ścięcie głowy. Wyrok miano wykonać nazajutrz na placu ratuszowym.

¹⁾ Czarcią górą w XVII i w połowie XVIII w. zwano część dzisiejszej Pohulanki, mianowicie górę Boufałową.

Tej nocy istotny zabójca nie mógł zasnąć. Dręczyły go wyrzuty sumienia, iż przelał krew ludzką i dopuścił do osądzenia na śmierć niewinnego przyjaciela swego. Nad ranem posłyszał głos, który mu nakazywał, aby szedł, wyznał swoją winę i ratował niewinnego. Zerwał się z posłania i przybiegł na miejsce tracenia w chwili, gdy kat czerwono ubrany brał miecz do ręki, by wyrok wykonać. Wielkim głosem zaczął wołać, by wyrok powstrzymano, gdyż on to właśnie jest winien zabójstwa.

Sprawę ponownie rozpatrzono, niewinnego uwolniono, a przestępcę nazajutrz ścięto.

(*Gwagnin. Descriptio Pol. fol. 78, ks. Naramowski str. 57*).





NIEWINNIE OSĄDZONY.

W r. 1737 rano zakrystjan wszedłszy do kościoła św. Michała z przerażeniem spostrzegł, iż kościół został okradziony. Złodziej dostał się w nocy do kościoła oknem i wykrał kosztowne kielichy, złotą różę, przyslaną Elżbiecie Sapieżynie przez papieża Klemensa VIII, spruł z ornatów perły i zabrał wiele innych rzeczy. ¹⁾

Powstał alarm, zbiegli się ludzie i rozpoczęto poszukiwania świętokradzcy. Jakoż niedaleko kościoła, przy moście zaręcznym spostrzeżono spiącego pod drzewem człowieka, a przy nim na ziemi ujrzano kilka pereł.

Był to młody człowiek, czeladnik szewski. Obudzony, przecierał oczy i długo nie mógł zrozumieć, czego od niego chciano i dla czego obchodzą się z nim w sposób brutalny. Gdy jednak dowiedział się, o co go obwiniają i gdy mu pokazano znalezione przy nim perły, świadczące

¹⁾ Rocznik klasztoru Bernardynów Wileńskich, str. 180—181.

o jego winie, zaczął płakać i przysięgał na wszystko co ma świętego, iż jest niewinny. Opowiedział, że spędził noc w gospodzie na hulance z kilku kamratami i wracając do domu na Zarzecz, a będąc zupełnie pjanym, upadł i zasnął. W jaki sposób znalazły się przy nim perły, tego nie wie. Może złodziej dla zatarcia śladów umyślnie mu je podrzucił.

Domniemanego winowajcę odprowadzono do ratusza i osadzono w więzieniu. W parę dni potem stawiono go przed sądem, który pomimo fez i przysięg, iż nie jest winny zarzucanej mu zbrodni kradzieży, skazał go na śmierć przez powieszenie.

Na rynku przed ratuszem stałe znajdowała się szubienica na wzniesieniu o kilku stopniach. ¹⁾ W oznaczonym dniu niezmierny tłum zapełnił rynek. Niektórzy, chcąc lepiej widzieć, jak będą wieszać świętokradzcę, wdrapali się na drzewa.

Halabardnicy przyprowadzili na miejsce kaźni winowajcę. Błady, zalany łzami, szedł chwiejnym krokiem, mając ręce skrępowane powrozem za plecami. Zbliżając się do rusztowania zaczął głośno odmawiać litanję do Matki Boskiej. Odmawiał ją wstępując na stopnie szubienicy i już stojąc pod nią. Wśród tysięcznego tłumu zalegającego rynek zapanowała taka cisza, że z najdalszych miejsc wyraźnie słychać było słowa litanji. Niektórzy zdjęli z głów okrycia i na słowa nieszczęśliwego, zwrócone do Najświętszej Panny, odpowiadali: — „Módl się za nami!“

¹⁾ Po drugiej stronie ratusza znajdował się „Pitat“, czyli pręgierz, przy którym smagano złoczyńców.

Kat czekał, oparty o szubienicę.

Gdy litanja była skończona, kat zarzucił skażącowi stryczek na szyję i pchnął go z wysokości, ale nieszczęśliwy zdołał jeszcze zawołać:

— Matko! okaż, że jesteś!

W tej samej chwili nowy i mocny sznur rozprysł się na części i skazany padł na ziemię.

Rozległy się wołania: — Cud! Puścić wolno! Nie karać!

Sąd, widząc w tem zdarzeniu rozkaz Boga, uwolnił biedaka od kary.

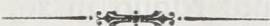
W parę dni potem u żyda handlarza znaleziono sporo pereł i kawały stopionego złota. Wzięty na tortury żyd wyznał, że pereły, złotą różę i patynę, które przetopił, kupił od niejakiego Bartłomieja, stróża przy kościele św. Anny.

Pojmany Bartłomiej przyznał się, iż w nocy okradł kościół św. Michała i podrzucił kilka pereł śpiącemu przy moście czeladnikowi, pragnąc w ten sposób odwrócić od siebie podejrzenie; skradzione kosztowności sprzedał za bezcen kilku handlarzom.

Bartłomieja powieszono na rynku, ale przed tem palono mu dłonie ogniem.

Pociągnięto do odpowiedzialności wielu żydów, których skazano na zwrot skradzionych przedmiotów, koszta procesu i grzywnę na rzecz zrabowanego kościoła.

(Według ks. Naramowskiego T. I. str. 89).





O KSIĘDZU ZBÓJCY.

W r. 1572 mieszkał w Wilnie we własnej kamienicy pewien ksiądz, bardzo zamożny. O ile inni zacni kapłani cieszyli się ogólnym szacunkiem, ten ksiądz był przez wszystkich pogardzanym. Chciwy, nieludzki, pędził życie rozwiązłe. Zniszczył on powierzony sobie przez umierającego człowieka testament i zagarnął pieniądze jego sierot, które znalazły się w nędzy. Mówiono nawet, że miał on na sumieniu zabójstwo, gdyż dowiedziawszy się na spowiedzi o dużych pieniądzech, posiadanych przez pewnego kupca, otruf go i pieniądze przywłaszczył.

Niegodziwy ksiądz nic sobie z tych zbrodni nie robił i nawet nie wahał się odprawiać nabożeństwo.

Zdarzyło się, iż w dzień Bożego Ciała, ów ksiądz zbrodniarz, gdy w kościele katedralnym św. Stanisława miał ranną mszę, nagle zaczął robić pomyłki, zbladł strasznie, w głowie mu się mąciło, nie mógł odróżnić liter w mszale i zamiast

jednych wyrazów wymawiał inne, słowem był, jakby w stanie, poprzedzającym ciężką chorobę.

W tym samym czasie przyszedł do kościoła niejaki Kfyszejko, który, chociaż katolik, był sługą heretyka. Kfyszejko był obdarzony nadzwyczajną siłą, wprawiającą ludzi w zdumienie: z łatwością łamał podkowy, a w walkach nie jednego przeciwnika pokaleczył, bo nikt nie mógł mu podołać.

Kfyszejko od lat 17 nie był w spowiedzi, a że przez ten czas wiele nagrzeszył, więc zapragnął w dzień Bożego Ciała pojednać się z Bogiem i w tym celu przyszedł rano do katedry. Niewiadomo, co mu przeszkodziło spełnić swój zamiar, ale był na nabożeństwie i gorliwie się modlił.

Usłyszawszy księdza, śpiewającego słowa psalmu: „Grzechy moje skrępowały mię, gdyby powrozy,“ Kfyszejko padł na twarz, zaczął bić głową o kamienną posadzkę, głośno płakać, jęczeć i krzyczeć, tak, że pomimo oporu musiano go wyprowadzić z kościoła.

Zapytany o przyczynę płaczu, odpowiedział:

— Słowa psalmu przypomniały mi, że jestem grzesznikiem, żem nigdy nic dobrego nie uczynił, a za to mam na sumieniu dużo złych i niegodziwych postępków.

Wyszedłszy z kościoła, Kfyszejko przez dziedziniec zamkowy skierował się ku bramie, za którą był most na Wilence, wiodący na ulicę Zamkową, ¹⁾ lecz, jak tylko stąpił na most, posłyszał

¹⁾ Dawniej Wilenka płynęła ulicą Królewską, ul. Marji Magdaleny, około dzwontcy katedralnej, ulicą arsenalską i obok dzisiejszego pałacu Tyszkiewiczów wpadała do Wilji. Na Wilence były dwa mosty, z tych jeden z zamku dolnego wiodł na ul. Senatorską (dziś Mostową), zaś drugi z bramy zamkowej na ulicę Zamkową.

groźny głos: „Wracaj“ i nagle ujrzał przed sobą djabła, zagradzającego mu drogę do miasta. Djabel całkiem czarny miał postać karzełka i szerokie usta, z których wystawały kły. Wielkie okrągłe oczy świeciły blaskiem zielonawym. Ręką, uzbrojoną w pazury, wskazywał w stronę katedry i groźnie wołał: „Wracaj, wracaj!“

Kłyszejko przerażony, prawie nieprzytomny, zawrócił i, goniony przez djabła, począł uciekać, aż dopadł katedry. Tu w babinie wpadł na niegodziwego księdza, który właśnie po skończonej mszy, wychodził z kościoła. Porwał go w objęcia i zaczął ścisnąć, a chcąc go ucałować zbliżył usta do twarzy księdza, ale zamiast pocałunku zaczął zębami gryźć mu policzki, nos, wargi. Wyrwał się nieszczęśliwy i z krzykiem wpadł do katedry, w której pomimo rannej godziny było już sporo modlących się, ale za nim pędził Kłyszejko i dopadłszy go, silnem uderzeniem noża odrąbał mu palce, któremi świętokradzko wznosił Hostję, poczem znowu gryzł, szarpał i dusił, tak że obficie płynąca krew zboczyła twarze, ręce i ubranie zarówno ofiary, jak napastnika.

Rzucili się na pomoc obecni w kościele, ale próżno usiłowali wyrwać księdza z rąk szaleńca, który, obdarzony niezwykłą siłą, odrzacał wszystkich i dotąd szarpał swą ofiarę, aż ta ducha wyzionęła.

Wtedy Kłyszejko nagle się opamiętał i cichym, łagodnym głosem opowiedział, że wcale księdza nie znał, widział go po raz pierwszy, ale po spotkaniu się na moście z djabłem, jakaś siła, jakiś

głos wewnętrzny kazał mu zamordować księdza, ponieważ był on zbrodniarzem i świętokradzcą.

Kłyszejko sam dobrowolnie poszedł do sędziego i żądał dla siebie kary śmierci za popełnioną zbrodnię. Jakoż ścięto go na rynku.

(Ks. Naramowski T. I. C. IV i XXXVI. str. 135—138).





OSOBLIWE DZIECKO.

I.

Na Łukiszkach, przedmieściu Wilna, mieszkał ubogi stolarz z żoną i trojgiem małych dzieci. Cnotliwy, trzeźwy i pracowity pracował od rana do nocy, by wyżywić rodzinę, ale zarabiał mało, tyle tylko, aby żonie i dzieciom nie dać umrzeć z głodu. To też oczekiwane przyjsście na świat jeszcze jednego dziecka stawało się ciężarem za wielkim dla ubogiego rzemieślnika. Nie narzekał on jednak i nie szemrał, tylko jeszcze gorliwiej jął się pracy, skracając godziny snu i odpoczynku. Stolarzowa, patrząc na to, jak jej mąż zapracowuje się, srodze cierpiała, iż nie może mu dopomódz i płakała w ukryciu, by mąż nie widział.

Na wiosnę urodził się tęgi chłopak o niebieskich oczętach. Raz w nocy w parę dni po urodzeniu dziecka, stolarz wykańczał w przyległej izbie jakąś pilną robotę, żona zaś jego, jeszcze słaba, karmiła piersią nowonarodzone niemowlę. Bolesnie ścisnęło się serce biednej matki na myśl,

że przybyła im jeszcze jedna istota, którą trzeba będzie żywić i odziewać. Gorące łzy spływały z oczu stolarzowej, wreszcie zaczęła się modlić do Najświętszej Panny i prosić by ich nie opuszczała i nie dała zginąć. W tem postyszała głos, jakby z nieba wychodzący:

— Nie smuć się i ufaj. Bóg zsyła wam to dziecię na pociechę i ratunek.

W tej samej chwili dziecinka wypuściła pierś, którą ssąca, podniosła główkę i z anielskim uśmiechem spojrzała w oczy matki, jakby potwierdzając tylko co posłyszane przez nią proroctwo.

Stolarz, któremu żona opowiedziała o zdarzeniu przypisał to złudzeniu spowodowanemu chorobliwym stanem położnicy.

Ale zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Nowonarodzony chłopiec, któremu na chrzcie dano imię Antoni, rósł i rozwijał się z zadziwiającą szybkością. W tydzień po przyjściu na świat odrzucił spowijacze i siedział o własnej sile, w dwa tygodnie mógł już chodzić, zaczął mówić i szybko jeden po drugim, wyrzynały mu się ząbki. Było to dziwnie miłe i dobre dziecko nie sprawiające rodzicom żadnego kłopotu.

Wieść o cudownym chłopcu szybko się po mieście i okolicach rozeszła, to też przychodzili ludzie, by go zobaczyć i podziwiać. Kilku zamożnych obywateli, poznawszy stolarza, jego zacność i uczciwość i chcąc mu dopomóc, dawali robotę, za którą hojnie płacili.

A chłopiec rósł i męźniał z dniem każdym. W 6-ym miesiącu życia wyglądał na 15-letniego dziańskiego chłopaka. Wyręczał ojca w robocie.

a wykonywał ją tak pięknie i trwale, że stolarz nie mógł już nadążyć w wykonywaniu obstalunków, które zewsząd napływały i musiał przyjąć kilku czeladników.

W wolnych od pracy chwilach Antoś rzeźbił z drzewa figury, najczęściej świętych i malował je kolorami. I w tem wykazał niezwykły talent. Wykonane przezeń figury były przepiękne i sprawiały wrażenie żywych, to też rozchwytywano je i płacono duże pieniądze.

W kościołach wileńskich ozdobą ołtarzów były wyrzeźbione przez Antosia figury Chrystusa Ukrzyżowanego i Matki Boskiej, dla której miał on szczególną cześć. Ale za te figury nie przyjmował zapłaty i ofiarowywał je do kościołów.

W domu stolarza zakwitł dostatek. Nie tylko rozszerzył on znacznie pracownię, ale po kilku miesiącach uzbierał tyle pieniędzy, że mógł wybudować niewielki, ale wygodny dworek.

Stolarz i jego żona, patrząc na cudowne wzrastanie Antosia i na szczęście, które im ze sobą przyniósł, święcie wierzyli, że to Bóg ulitował się nad nimi i zesłał im to dziecię cudowne, to też kochali je nad życie.

Jakoż Antoś zasługiwał na miłość. Rozumny, łagodny, skromny, pracowity, przywiązany do rodziców i rodzeństwa, miłosierny, litujący się nad każdym biedakiem i śpieszący z pomocą, był przez wszystkich kochanym.

Nie miał jeszcze skończonego roku życia, a wyglądał na 20-letniego młodzieńca. Był urodziwy, silnie zbudowany, zgrabny i zręczny, ale szczególnie piękniemi były jego oczy, pełne wyrazu i sło-

dyczy. Nie jedna dziewczyna, spotkawszy się z jego wejrzeniem, rumieniła się, a serce jej żywiej bić zaczynało. Ale Antoś jakoś mało zwracał uwagi na zalotne spójrzzenia dziewcząt. Nie czuł potrzeby kochania. Wystarczała mu miłość rodziców i rodzeństwa.

Minął rok i stolarz z biedaka stał się człowiekiem bogatym, starszym cechu i ławnikiem w magistracie. Zato w Antosiu zaczęły zachodzić nowe zmiany.

Ciało jego zaczęło stopniowo się zmniejszać, tak że po upływie pół roku sprawiał wrażenie chłopca 10-letniego, a jeszcze po paru miesiącach nie różnił się od 5-letnich dzieci. Przy końcu roku przestał chodzić i mówić i stał się niemowlęciem. W drugą rocznicę swych urodzin dziecina zasnęła nagle i skonała na rękach zrozpaczonej matki. Śnać spełniła przeznaczone jej od Boga zadanie i już nie była potrzebną.

II.

Ks. Naramowski przytacza nieco inną wersję tego podania. W r. 1671 urodził się w Wilnie chłopiec normalny, lecz po roku zaczął olbrzymio rosnąć (in molem ecrescere giganteam coepit) i stał się monstrum. Gdy upłynął rok chłopiec zaczął zmniejszać się, tak że w niczem już od innych dzieci się nie różnił.

(Ks. Naramowski. *L. I. C. V. 147*).





SKĄPA BABA.

Na przedmieściu Wilna mieszkała baba strasznie skąpa. Gdy jaki ubogi prosił ją chociażby o kawałek chleba, nie tylko nic nie dała, ale jeszcze wpadała w złość, wymyślała od ostatnich słów, a nieraz i psem poszczuła. Miała owa baba syna, który wcale do matki podobnym nie był. O ile ona była złą i czerstwego serca, o tyle syn jej litował się nad ubogimi — i nieraz pokryjomu oddawał im swoje jedzenie.

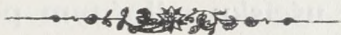
Raz gdy baba pleła w ogrodzie warzywnym, zbliżył się staruszek żebrak, siwiuteńki, jak gołąb i prosił o jałmużnę. Baba, swoim zwyczajem zaczęła krzyczeć, nieprzystojnie wymyślać i grozić, ale żebrak znosił wszystko w pokorze, kłaniał się i powtarzał swą prośbę, aż zniecierpliwiona baba ze złością rzuciła mu główkę cebuli ze szczypiorem.

Po niejakim czasie ta kobieta umarła i po śmierci gorzała w piekle. Syn jej, który miał łaskę u Boga, błagał Go o wybawienie matki od mąk piekielnych. Pan Bóg zgodził się, ale zastrzegł, że syn wydobędzie ją z piekła podając jej szczypiór.

Przyszedł on tedy nad brzeg piekła, nachylił się nad przepaścią, wyciągnął rękę i powieziawszy matce, aby za szczypiór uchwyciła i mocno go trzymała, zaczął ciągnąć ją w górę.

Widząc to inne dusze pokutujące uczepiły się baby, chcąc z nią razem wydostać się z płomieni piekła. Ale baba, jak za życia była złą i zazdrośną, taką i po śmierci pozostała, więc dalejże otrząsać z siebie poczepione dusze i kopać je nogami. Próżno prosił ją syn i ostrzegał, by zachowywała się spokojnie, baba głucha na jego błagania, dotąd się rzucała i szarpała, aż szczypiór się urwał i zła kobieta poleciała na same dno piekła i na zawsze tam pozostała, ku wielkiej djabłów radości. Dusze zaś, które były bliżej brzegu, wylazły na górę i opuściły piekło.

(I. Karłowicz. Podania zebrane na Litwie.)





KAMIENIE NA SNIPISZKACH.

W ogrodach z prawej strony ulicy Wiłkomierskiej do niedawna można było oglądać gromadę wielkich kamieni, mających dziwne kształty, przypominające postacie ludzkie.

Kamienie te leżą w okrąg; jedne z nich podobne do stojących, lub siedzących mężczyzn i kobiet, w innych można się dopatrzeć podobieństwa do leżących postaci. W środku stoi głaz, jakby skamieniałe w uścisku miłośnym postacie kobiety i mężczyzny. ¹⁾

Do tych kamieni przywiązane jest następujące podanie.

W pogodny dzień letni w kościele św. Rafała odbył się ślub młodego rzemieślnika z córką mieszczanina. Zaproszone na wesele liczne grono gości zaczęło ucztować już przed ślubem. Raczono się wódką i piwem, śpiewano i puszczano się w tany przy dźwiękach skrzypiec, to też gdy wyruszono

¹⁾ Kamienie te oglądał A. H. Kirkor, który wspomina o nich w przewodniku po Wilnie. Wyd. 1862 r. str. 253.

do kościoła, wszyscy, nie wyłączając młodej pary, byli mocno podhumorzeni. Podczas obrzędu ślubnego zebrani w kościele zachowywali się nieprzyzwoicie i, nie zważając na świętość miejsca, czynili głośnie uwagi, drwili z obrzędu i ze starszaka księdza, który ślub dawał. Państwo młodzi oglądali się, zamieniali z družbami i družkami półsłówka i uśmiechy i nic sobie z ważności chwili nie robili. Nie dość tego, pan młody, pocałowawszy podany mu przez księdza krucyfiks, siarczyście splunął na stronę, co wywołało ogólny śmiech.

Oburzony takim świętokradztwem sędziwy kapłan, surowo zgromił zebranych i rzekł:

— Oby was Bóg nie ukarał!

Gdy to wyrzekł, wszystkie świece na ołtarzu zgasły.

Z hałasem i śmiechem orszak ślubny opuścił kościół i podążył ulicą Wiłkomierską na ucztę weselną do domu rodziców panny młodej.

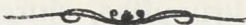
Przodem szli grajkowie, wygrywający na skrzypcach skoczne melodje, za nimi, otaczając młodą parę, kroczyli dziewczęta, przytupując i wyśpiewując nie zawsze przyzwoite piosnki.

Wyśmiewano się z księdza i jego groźby, a pan młody zawołał:

— Ciekawym, jak to Pan Bóg ma nas ukarać? Zaledwo wyrzekł te słowa bluźniercze, gdy na pogodnym niebie ukazała się kula ognista, która leciała z szaloną szybkością, aż wreszcie padła tuż przed orszakiem i rozprysła się na setki odłamków. Podniósł się tuman kurzu i zakrył sobą orszak weselny. Gdy kurz opadł, oczom przerażonych niezwykłym zjawiskiem przechodniów przed-

stawił się dziwny widok, który przejął ich zgrozą. Zamiat rozbawionych gości ujrzeli gromadę kamieni. Młoda para nowożeńców skamieniała we wzajemnym uścisku.

(Według A. H. Kirkora).





WILCZA ŁAPA.

Miejscowość w południowej stronie Wilna w bliskości Ponar przy kolei warszawskiej położona nosi dziwną nazwę „Wilczej Łapy.“ Tu, przy drodze pomiędzy szpitalem kolejowym, a plantem kolei żelaznej znajduje się znacznych rozmiarów kamień, na którym znać parę odcisków, jakby łap zwierzęcych. Do tego kamienia, od którego miejscowość nazwę swą otrzymała, przywiązane są następujące podania. ¹⁾

wilczy
20.V. 1918

1.

Djabel, przez władcę piekieł na ziemię na powód dusz ludzkich wysłany, błąkał się w okolicy Wilna, aż znużony usiadł na wielkim kamieniu. Ponieważ udało mu się sprowadzić z drogi cnoty pewną liczbę ludzi i pozyskać ich dla piekła, zaczął się pysnić i urągać Stwórcy, twierdząc, iż jest od Niego potężniejszym i mocniejszym. Usły-

¹⁾ Podanie te zawdzięczam profesorowi Stanisławowi Kościakowskiemu, który słyszał je od mieszkańców Wilczej Łapy.

szał to Pan Bóg i zesłał anioła, który rzekł do djabła:

— A no pokaż swą moc i siłę i zmiążdż na proch kamień, na którym siedzisz.

Djabeł pewny swej siły, zeskoczył z kamienia i wparł się weń łapą — a miał on łapy wilcze. Próżno jednak wysiłał się i napręzał usiłując skruszyć kamień, aż ozor z pyska wywiesił, ślepią mu z wielkiego nateżenia na łeb wylazły i krwią nabiegły, a pot smrodliwy pokrył cielsko. Twardy głaz nie poddał się, tylko łapa nieco w niego się zagłębiła i pozostawiła odcisk.

Zawstydził się bies, zafrasował i podkurczywszy ogon, jak niepyszny powłókł się do piekła.

II.

Według innego podania, djabeł zobaczył pasącą się młodą kozę, a że był głodny, postanowił złapać ją i pożreć. Zamienił się tedy w wilka i rzucił się ku kozie, która zaczęła umykać. Na drodze leżał wielki kamień, którego koza nie mogła ominąć. Skorzystał z tego djabeł, zaczarował kamień i rozmiękczył, rozliczając, że gdy gonione zwierzę wpadnie na miękki, jak ciasto głaz, ugrzęźnie w nim i da się schwytać. Ale omylił się w rachubie, bo lekka i zwinna koza jednym susem przesadziła przez kamień. Tylko tylną łapką dotknęła jego powierzchni, pozostawiając na niej odcisk kopytka.

Wpadł na kamień i goniący kozę djabeł i również odcisnął na nim ślad swej wilczej łapy. Tymczasem koza zdołała umknąć, a djabeł pozostał z niczem.



STATUA CHRYSYDUSA NA SNIPISZKACH.

I.

Wraz za Zielonym mostem znajduje się niewielki pagórek sypany, na którym wznosi się czworokątny słupek murowany z altaną, przykrytą daszkiem, wieńczonym krzyżem. W altanie znajduje się statua Chrystusa w postaci nieco pochylonej, dźwigającego na ramieniu krzyż wielki.

Według podania wzgórze to ma być wspólną mogiłą poległych w bitwie pod Wilnem Krzyżaków. W rzeczywistości zaś za dawnych czasów na wzgórzu istniała mała warownia drewniana, broniąca przeprawy przez Wilję. Podczas wojen w XVII wieku warownia uległa zniszczeniu. Wtedy jeden z obywateli snipiskich umieścił tu na słupie murowanym drewnianą figurę św. Jana Nepomucena, która, stojąc nie przykryta i wystawiona na deszcz i śnieg z czasem zgniła, a słupek w gruzy się rozsypał.

Gdy w r. 1703 stanął kościół św. Rafała, Jezuiti w kilka lat potem wymurowali na wzgórzu większy słupek z altaną, aby zabezpieczyć nową statuetkę św. Jana Nepomucena, którą przełożony Jezuitów polecił wyrzeźbić z drzewa i pomalować znanemu w Wilnie rzeźbiarzowi Janowi, za co była umówiona zapłata ośm talarów bitych.

Legenda tak opiewa powstanie figury Pana Jezusa. Snycerz Jan z rodziną, składającą się z żony i trojga dzieci, mieszkał przy ulicy Kalwaryjskiej we własnym dworku, przy którym znajdowała się jego pracownia.

Otrzymałszy od przełożonego OO. Jezuitów zamówienie na figurę św. Jana Nepomucena, artysta na razie nie mógł go wykonać, ponieważ musiał na dłuższy czas wyjechać. Wróciwszy z podróży, już miał przystąpić do roboty, gdy w r. 1710 wybuchło w Wilnie morowe powietrze, najstraszniejsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek nawiedzały miasto.

Poprzedził je głód okropny, który opisał świadek naoczny Załuski. „U nas, pisze on, nędza, jakiej ani widzieć, ani czytać o podobnej w historii nie zdarzyło się... w miesiącu lipcu jeden Rochiła z towarzystwem podjął się grzebać umarłych i już od lipca (1709) do Wielkiej Soboty (1710) włącznie zapisał pogrzebionych 22862... Kiedy konia zdechłego znajdą, albo kiedy gdzie padnie tłumnie się zbiegają, rozrywają go, chwytają, pożerają. Psy, koty, gdzie znajdą, za przysmak chwytają. Niektórzy biegną po wsiach, zapalają obory i przywiązane bydło opalone tak pożerają. Pod Wilnem mąż z żoną zabili naprzód najmniejszego

syna, potem drugiego siedmioletniego prawie, ugotowali i zjedli. Inni trupy jedzą.“

Z powodu okropnego głodu lud wiejski masami rzucił się do Wilna i, napełniając ulice, rozpaczliwie wołał chleba i umierał tysiącami. Stosy trupów zawały ulice, rynki i podwórza. W samym Wilnie umarło wtedy 30 tysięcy chrześcijan i 3700 żydów. Straszny obraz przedstawiało miasto, przepełnione tłumami ludzi wyjących z głodu i w okropnych mękach konających na ulicach. Epidemia i głód opustoszyły Wilno tak, że w wielu kamienicach nie pozostało ani żywej duszy. Takich domów obawiano się i przez lat 40 stały one pustkami. ¹⁾

Kto tylko mógł, uciekał z zarażonego miasta.

Zamierzał uczynić to i Jan, pragnąc ratować siebie i rodzinę od strasznej zarazy, gdy pewnej nocy we śnie, czy na jawie (tego snycerz nie mógł z pewnością powiedzieć) ukazał mu się Chrystus w szacie czerwonej, dźwigający krzyż i rzekł do niego:

— Janie, sporządź rychło statwę z tego kłosa drzewa, ale taką, a nie inną, jak mię tu widzisz. Ani ciebie, ani domu twego żadna zaraza nie dotknie, gdy mnie usłuchasz. Pamiętaj!

Snycerz zaniechał zamiaru opuszczenia Wilna, niebawem przystąpił do roboty i po roku pracy wyrzeźbił statwę Zbawiciela, krzyż dźwigającego.

Przez cały czas trwania zarazy nikt w domu

¹⁾ Jako pamiątka tej klęski pozostał obraz lichego pędzla na zewnętrznej ścianie kościoła Śś. Piotra i Pawła, przedstawiający morowe powietrze w Wilnie w 1710 roku.

jego nie zachorował, chociaż dokoła ludzie marli setkami.

Gdy epidemja ustała i OO. Jezuici do Wilna wrócili, prosił Jan, by przyjęli wyrzeźbioną przez siebie figurę i ustawili w altanie na słupie. Zgadzał się nawet na mniejszą zapłatę, ale spotkał się z odmową, ponieważ słup był przeznaczony na umieszczenie na nim figury św. Jana Nepomucena.

Niedługo potem jednemu z zakonników, wielce w zgromadzeniu poważanemu starcowi, objawił się Chrystus i żądał, ażeby przyjęto figurę od snycerza. Staruszek udał się do księdza ekonoma Sempiańskiego, który zaprowadził go do przełożonego ks. Ptaka. Ten, wysłuchawszy opowiadania o objawieniu i widząc wzruszenie starca, kazał statuę przyjąć i snycerzowi według umowy zapłacić. Ponieważ jednak ks. Ptak nie czuł się w prawie umieszczać figury na słupie bez pozwolenia zwierzchności swojej, więc postawiono statuę w składzie rzeczy kościelnych.

Upłynął prawie rok czasu, gdy pewnego dnia brat zakonny Antoni Rychter, krzątając się w składzie posłyszał głos:

— Dopókiż mię więzić będziecie w tej jaskini? Zrozumiał braciszek, że głos ten z ust figury Pana Jezusa wychodzi, ponieważ w składzie nikogo, prócz niego samego, nie było. Przerażony rzucił się do przełożonego, któremu opowiedział o zdarzeniu.

To wpłynęło na zdecydowanie się na ustawienie figury w altanie na słupie, co nastąpiło z wielką uroczystością d. 9 maja 1720 roku.

11.

W domu Czerwińskiej na rogu ul. Wileńskiej i Trockiej stróżem był niejaki Mateusz Pokułowicz, liczący lat 57, który od kilku lat na oczy był cierpiącym. Leczył się u lekarzy, zwracał się do znachorek, stosował wszystko, co tylko kto poradził, nic nie pomogło i w październiku 1845 roku biedak zupełnie oslepl.

W wigiliję N. Panny Gromniczej 1847 roku, gdy Pokułowicz udał się na spoczynek i już zasypiał, usłyszał głos: „Przyjdź do mnie i oczyść mię, a ja ciebie uzdrowię, będziesz widział.“

Następnego nocy tenże sam głos posłyszał. Wtedy ośmielił się zapytać: „Dokąd mam iść?“ i otrzymał odpowiedź:

— Wiesz słup za zielonym mostem na wzgórku. Chrystus Pan krzyż niesie, tam przyjdź i oczyść mię, a będziesz widział; Jeśli nie będziesz mógł oczyścić mię u słupa, to przyjdź do kościoła św. Rafała, a jak będziesz mógł, oczyścisz.

Pokułowicz raniutko dnia następnego wziął rydel i udał się we wskazane miejsce, ale wzgórze tak było śniegiem zasypane, że ślepy ugrzązł po kolana i ledwo się wykopał. Zmartwiony powrócił do domu i postanowił oczyścić wzgórze na wiosnę, gdy śnieg stopnieje. Tegoż dnia poszedł do poblizkiego kościołka księży Bonifratrów i tam w skupieniu modlił się do Pana Jezusa, ponawiając swe postanowienie oczyszczenia i naprawienia słupa. Zaczął rzewnie płakać, a gdy łzy płynące chusteczką ocierał, zdało mu się, że coś z oczu jakby na chustce zostało, że mrok, zaścielający

mu wzrok, przejaśnia się. Jakoż zaczął odróżniać przedmioty coraz wyraźniej i po kilku minutach przejrzał, poczem obmył oczy wodą ze studzienki znajdującej się w tym kościele i uszczęśliwiony wrócił do domu.

Przez resztę zimy z pracy oszczędził kilka rubli i z nadejściem wiosny najął robotników, słuł otynkował i figurę Chrystusa na nowo pomalował. Własnoręcznie oczyścił pagórek, bruk naprawił i wszystko, co mu w widzeniu uczynić kazano, uczynił i zebranemu ludowi opowiadał o swoim uzdrowieniu cudownem.

Odtąd figura Chrystusa na Snipiszkach uznana została, jako słynąca łaskami.

(Według X. M. J. R. Wiadomość o cudownych obrazach w Wilnie. 1863 str. 31).





O. MELCHIOR I DJABEL.

Pod kościołem poddominikańskim św. Ducha w Wilnie znajdują się obszerne podziemia, które niegdyś przepełnione były trumnami. Te przed laty 50 przeniesiono do jednego sklepu i ustawiono jedne na drugich, tak, że sięgają sklepienia, a sklep zamurowano.

W jednym ze sklepów grobowych pomiędzy szczątkami trumien spróchniałych, kośćmi i próchnem do niedawna można było oglądać zwłoki zakonnika Dominikanina w pozycji siedzącej w fotelu żelaznym. Nieboszczyk był odziany w biały habit, którego kaptur głowę opuszczoną na piersi całkowicie okrywał.

Opowiadano, że są to zwłoki błogosławionego O. Melchiora z Warki, zakonu kaznodziejskiego, który zmarł w Wilnie r. 1602, śpiewając: „Subvenite Sancti Dei.“

O. Melchior słynął z nauki, cnotliwości i krasomówstwa. Kazania jego gromadziły do kościoła św. Ducha tłumy wiernych, słuchających z zapar-

tym oddechem natchnionych słów niezrównanego kaznodziei.

O. Melchior całym swym gorącym sercem nienawidział szatana, wypowiedział mu walkę, ostrzegał przed jego złością i przebiegłością, z jaką stara się sprowadzić ludzi z drogi cnoty, obrazowo przedstawiał okropności piekieł i mąk tam oczekujących grzeszników.

Potęgą słowa i własnym przykładem świętobliwy kapłan nie jedną zbłąkaną duszyczkę nawrócił, wyrwał mocom piekielnym i Niebu powrócił.

O. Melchior sławny był również z wypędzania szatanów.

Djabel wściekał się i z całego swego szatańskiego serca nienawidząc cnotliwego zakonnika, uciekał się do rozmaitych wybiegów, by mu spokój zatruwać. Tak, nieraz, gdy wieczorem wśród ciszy klasztornej O. Melchior w swej celi ubogiej przy świetle lampki olejnej zatopiony bywał w czytaniu ksiąg, lub rozmyślaniach pobożnych, djabeł roztaczał przed jego oczami obrazy ponętne. Skromna cela przeistaczała się w bogatą komnatę o wygodnych meblach, dywanach, obrazach, srebrnych świecznikach. Stół ugiął się od rozmaitych potraw, owoców, ciast, win, miodów, które nęciły wzrok i wzbudzały apetyt i pragnienie. Innym razem djabeł przybierał na się postać cudnej piękności dziewczicy, która lubieżnie wyciągała białe ramiona i wabiła wzrokiem i uśmiechem.

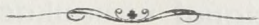
Próżne jednak były wszystkie próby kuszenia. O. Melchior pozostawał niewzruszony i tylko żarliwiej się modlił. Wtedy szatan chwycił się innych

sposobów, mianowicie usiłował nastraszyć zakon-
nika, przyjmując na się postać już to strasydeł,
już to rozmaitych bestji potwornych, gadów, zmij.
Musiał jednak zmykać, zgrzytając zębami, gdy O.
Melchior brał do ręki kropidło, kropił wodą świę-
coną i żegnał krzyżem.

Pozbywszy się djabła, świątobliwy kapłan
zdejmował ze ściany dyscyplinę, obnażał się do
pasa i, klęcząc przed krucyfiksem, biczował się
i modlił długo w noc, aż wyczerpany, zasypiał na
kamiennej posadzce.

Raz djabeł zakradł się nawet do zakrystji i gdy
tam przyszedł O. Melchior i zaczął ubierać się do
mszy, djabeł, przybrawszy na się postać rudego
psa, usiłował mu przeszkodzić, plątał się u nóg,
targał za odzież, skomlał, warczał, aż zniecierpli-
wiony kapłan porwał go za kark i wrzucił do
piekła, poczem spokojnie już mszę odprawił.

(Żywoty świętych Zakonu Kaznodziejskiego).





HISTORJA SPRAWIEDLIWIE NAWRÓCONEGO. ¹⁾

(MASE GER CEDEK.)

Podanie żydowskie.

Był w Polsce wielki Pan Pot...ki, który miał syna mądrego. Gdy chłopiec wyrosł, ojciec posłał go dla dokończenia nauk do miasta Paryża. Tam spotkał się on i zaprzyjaźnił z młodym Zarębą, synem niezamożnego szlachcica ze Żmudzi. Zaręba uczył się w Wilnie, a że był wielkim mędrcom i prześcignął w naukach swoich rówieśników, więc dano chłopcu wiele pieniędzy i po-

¹⁾ Legendę powyższą podaję w streszczeniu według J. I. Kraszewskiego (Wilno. T. III. str. 173), który wydrukował ją pod tym tytułem w dosłownem tłumaczeniu z rękopisu hebrajskiego.

Do podania dała powód historia magnata Pot...ego, który w Amsterdamie przeszedł na wiarę żydowską, i zato, gdy do kraju powrócił, był spalony w r. 1719 w Wilnie między zamkiem, a Wilją. Popioły jego pochowano na mogiłkach żydowskich za Wilją. Pamięć Abrahama (takie było imię żydowskie Pot...iego) żydzi mają w wielkiem poszanowaniu i rocznicę jego spalenia obchodzą drugiego dnia Zielonych Świąt w Synagodze.

słano go do miasta Paryża, gdzie był z wielką
czcią przyjęty.

Pewnego dnia dwaj towarzysze poszli oglą-
dać osobliwości Paryża. W jednej winnicy zoba-
czyli namiot, a w nim siedzącego nad książką
starego żyda niemieckiego. Księga była drukowaną
w nieznanym im języku. Zapytany starzec wytłó-
maczył, że jest to język święty-hebrajski, poczem
na prośbę młodzieńców opowiedział im treść kilku
rozdziałów.

I słowa Zakonu weszły do ich serc, i uprosili
starca aby ich uczył, a syn magnata obiecał mu
hojną zapłatę. Odtąd trzy razy w tygodniu Pot...ki
i Zareba chodzili do żyda na naukę, a w półroku
nauczyli się całej Pięcioksiąg. I stali się innymi
ludźmi, ucząc się starego zakonu. Nie pilnowali
czasu uczenia się w Akademii i nie szli do domu
modlitwy.

Jednego dnia poszli ci dwaj przyjaciele prze-
chadzać się po polu. I powiedział syn magnata
do swego towarzysza:

— Bracie, ja ci wszystkie skrytości serca mo-
jego wyjawię, ale nie ogłaszaj tego. W sercu
mojem postanowiłem udać się do Amsterdamu,
aby przyjąć wiarę żydowską, ponieważ wiara
izraelska jest prawdziwą, jak wiemy.

I odpowiedział Zareba:

— Jak ty, tak i ja. I ja tak zrobię, gdy będę
miał pieniądze na kosztą podróży.

I przysięgli obadwa i zawarli umowę i po-
wiedzieli:

— Bóg świadkiem między nami!

Syn magnata pojechał do miasta Rzymu, aby

zbadać, która wiara jest prawdziwa. I papież przyjął go z wielką czcią i uczył się w Akademii papieża i co tydzień wydawał ucztę dla wszystkich panów papieskich, a sługom ich dawał wielkie podarunki. I od nich dowiedział się o obyczajach papieża, że nie taki on świątobliwy, za jakiego się wydaje, że wcale nie wstępuje do nieba, jak o tem mówią, tylko siedzi sobie w najgłębszym pokoju.

I uciekł z Rzymu Pot..ki, wsiadł na okręt i przybył do Amsterdamu i przeszedł na wiarę żydowską.

Tymczasem Zareba skończył nauki w mieście Paryżu i, nie mając o przyjacielu żadnych wiadomości, powrócił do swego kraju. Przejeżdżając przez dobra hetmana Tysz...cza, który był przyjacielem jego ojca i dał mu pieniądze na pobyt w Paryżu, wstąpił na noc do pałacu hetmana. Tysz...icz przyjął go z wielką czcią i zatrzymał przez parę miesięcy, a gdy mędrzec Zareba chciał odjechać powiedział mu pan hetman:

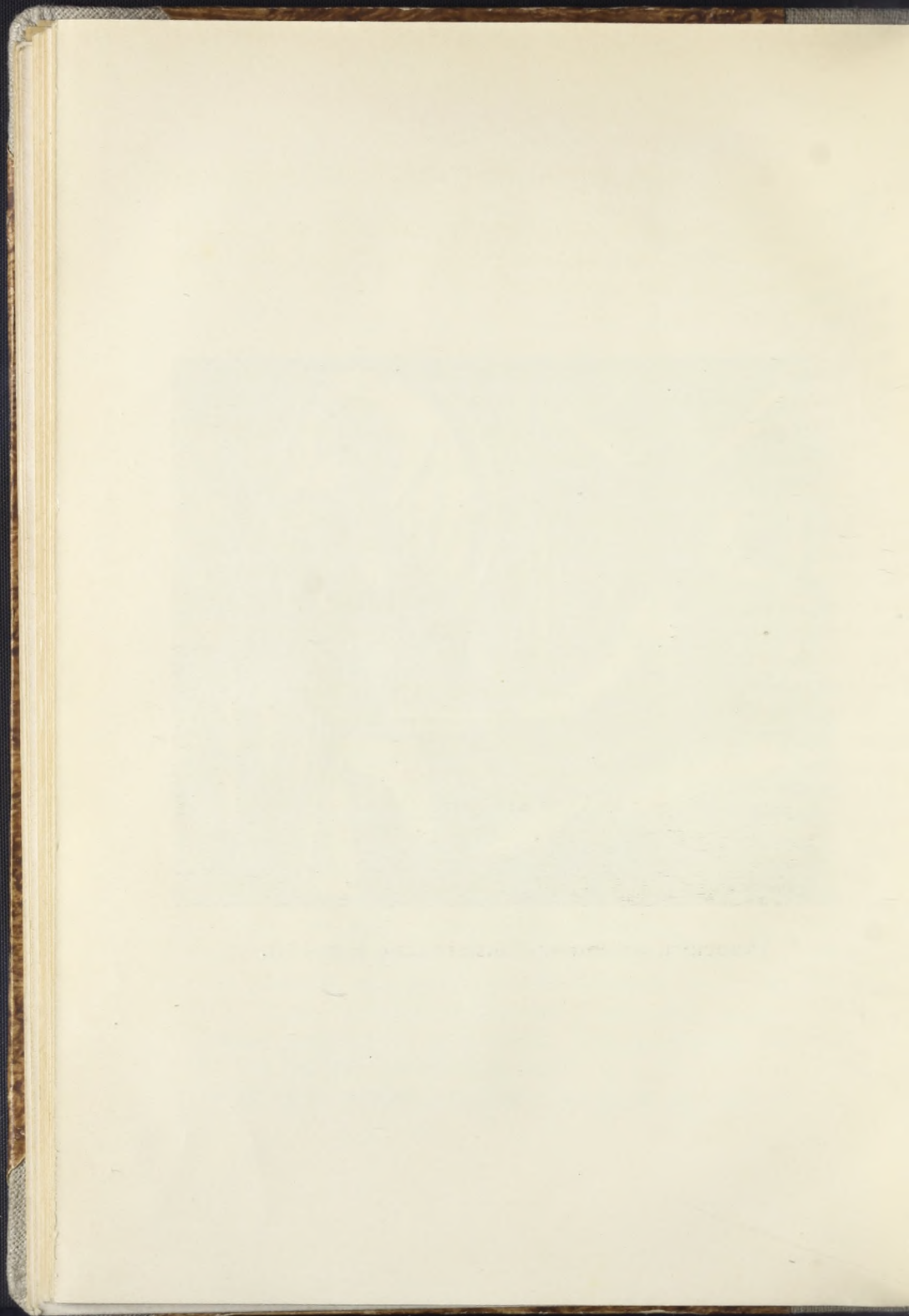
— Wyjawię ci tajemnicę serca mego, że ci dam jedyną córkę moją za żonę, bo cię pokochałem.

I Zareba pojął na dobre szczęście córkę hetmana za żonę i stał się bardzo wielkim ten młodzienc między wszystkimi panami. I wszystkie potrzeby kraju zawisły od jego wyroku. A gdy żona powiła mu syna, przez miesiąc były wielkie ucztę i oto wśród upojenia i radości zapomniał Zareba umowy i przysięgi, którą zawarł w Paryżu ze swoim towarzyszem.

W tym czasie przyszły listy z kraju polskiego,



Potocki u rabina w Amsterdamie (str. 144).



że zginął bez śladu syn magnata wielkiego Pot...iego.

Gdy to posłyszał Zaręba, bardzo się zląkł, że zapomniał o przysiędze, postanowił jej dotrzymać i jechać do Amsterdamu, chociaż przykro mu było rozłączyć się z żoną i synem. Ale żona z dzieckiem pojechała z mężem naprzód do Królewca, gdzie siedzieli rok, a potem do Amsterdamu i zamieszkali tam w pięknym mieszkaniu.

Nazajutrz poszedł pan Zaręba do Rabbina, który w osobnej izbie obrzezał go i jego 5-cio letniego syna.

Żona jego, nie doczekawszy się męża do wieczora, poszła go szukać, a on poszedł naprzeciwko niej, aby go nie szukała, ponieważ on przeszedł na wiarę żydowską. Gdy to usłyszała, padła i zemdląła, a potem poszła do izby, gdzie był jej mąż, płakała, prosiła i rzekła:

— I ja przejdę na wiarę żydowską.

Kilka miesięcy uczyła się u kobiet zakonu żydowskiego, a gdy się dobrze nauczyła, Dain, sędzia rozkazał kobietom, aby ją w wodzie zanurzyły. ¹⁾ I stała się Izraelitką. I siedzieli w Amsterdamie długi czas, a potem pojechali do ziemi izraelskiej.

A Ger-Cedek (Pot...ki) pojechał do Niemiec, zamtąd do Rosji, lecz stęskniony do kraju, wrócił do Litwy i przybył do miasta Ilji. Tam w bożnicy skarcił chłopca, który zachowywał się nieprzystojnie. Rozgniewany ojciec chłopca poszedł do panów i oznajmił, że tu jest Ger Cedek. Po-

¹⁾ Obrzęd, zachowywany przy przejściu kobiet na wiarę żydowską — rodzaj chrztu.

słali sługi i okutego w kajdany żelazne odprawili do stolicy Wilna. I poznali wielcy panowie, że on jest synem magnata Pot...iego, i ściskali go i pytali: — Zkąd ci takie głupstwo? a gdy on nie odpowiadał im nic, gniewali się i rzekli mu:

— Czemu nie odpowiadasz? Wszak tu idzie o twoje życie.

— Głupcy jesteście. Nie odpowiadam wam, bo mnie nie nazwaliście mojem imieniem. Jestem Izraelita, imię moje Abraham, a wy mnie zowiecie Pot...kim, a to jest imię goimskie.

I wsadzili go do więzienia. Tam przyszedł biskup, mając w ręku krzyż złoty i rzekł mu:

— Oddaj mi należną cześć.

On nato odpowiedział:

— Oddałbym cześć i czapkę bym zdjął przed wami, bo wyście wielki pan, a ja hebrajczyk, człowiek mizerny i pohańbiony, ale ponieważ trzymacie krzyż, to przed wami czapki nie zdejmę.

Ger Cedek siedział w więzieniu cały rok, aż z wielkiego utrapienia zaczęły z niego wychodzić robaki. A on zwrócił robactwo wewnątrz, mówiąc:

— Zniszczcie swoje ciało, ponieważ ciało moje jest z mięsa trefnego. A drugiego dnia święta Szewues ¹⁾ wyszedł wyrok, aby go spalić. Przed spaleniem prosili go bardzo, aby powrócił do ich wiary, a on hańbił ich wielkiem łajaniem i rozkazali katowi, aby mu wyrznął język i wyciągnął go przez kark.

A na żydów był wielki strach i ciemność wielka w tym dniu i nikt nie wyszedł za drzwi

¹⁾ Zielone święta.

domu swego. Tylko jeden wyszedł Rabbi Lezer Gisikes, który nie miał brody i przyszedł na miejsce spalenia, przekupił chłopca kata i dostał od niego popiołu ze spalonego ciała pobożnego i czystego, a od kilku goimów krwi świętego.

Gdy jedna goimka śmiała się i rozwarła swą gębę, gdy kat urznął jego język i skrzywił usta jego święte, goimka ta oniemiała i usta jej skrzywiły się na zawsze.

Kilku safjaników dało drwa, aby spalić sprawiedliwego. Tej że godziny spaliły się ich domy do gruntu. Tak niech zginą wszyscy Twoi nieprzyjaciele dla krwi Twojego sługi, która była przelana.

Nazajutrz przyszło pismo na pocztę, aby go nie zabijać, ale już było po wszystkim.

(Z Kraszewskiego.)



RABAN ELJASZ.

PODANIA ŻYDOWSKIE.

I.

Wielka waśń była w Wilnie pomiędzy Hassidim a Eulemsze¹⁾. Doszło do tego, że przy spotkaniu wrogowie odwracali głowy, aby się nie widzieć, i przechodzili na drugą stronę ulicy, by nie otrzeć się o siebie. Kobiety z jednej studni wody, ani z jednych jatek mięsa nie brały.

Przyczyną waśni był wybór Rabбина, co do osoby którego nie mogli się pogodzić. Eulemsze chcieli, aby Rabbinem był sprawiedliwy, wielki Rabbi Eljasz, pamięć jego niech będzie błogosławiona, któremu równy we wszystkich siedmiu umiejętnościach nie powstał, a Hassidimi nie

¹⁾ Sekty żydowskie w Wilnie w XVIII w. Hassidimi — sekta nabożna mistyków, Eulemsze — sekta światowa. U Hassidimów władza rabinów była nieograniczoną, mogli oni zmieniać nawet Talmud i jego wykład. W końcu XVIII wieku sekty te poważniły się o wybór rabina. Doszło do tego, że musiały się wmieścić władze i uwięzić kilkunastu członków Eulemsze, a z nimi razem ich kandydata Rabbiego Eljasza.

Eljasz umarł w r. 1797. Ze śmiercią jego skończyła się walka wspomnianych sekt.

zgadziali się na niego, tylko krzyczeli, coby rabbinem był inny Hassidim.

I wszczął się wielki tumult. Przy bożnicy zeszyły się tłumy Hassidimów i Eulemsze i przeciwnicy zaczęli sobie nieprzystojne słowa mówić, wygrażać i krzyczeć, że zrobił się wielki hałas, a sprawiedliwy Raban Eljasz wydał na Hassidimów wielką klątwę — cheirem. Potem wszczęła się bójka, kto miał kij w rękę, ten bił kijem, a kto kija nie miał, ten uderzał pięścią i targał przeciwnika za brodę i pejsy. Połała się krew, a hałas był tak wielki, że słychać było nietylko na zamku, ale i w całym mieście Wilnie.

I wzięto Rabana Eljasza, i zaprowadzono go do więzienia zamkowego, i wsadzono do lochu, a przy więzieniu postawiono straż silną, aby nikt nie przychodził i ze sprawiedliwym nie gadał.

I był Raban Eljasz bardzo głodny, a to dla tego, że straż nie pozwalała przynosić dla niego z miasta jedzenia koszernego, a trefnego, które mu goimi dawali, sprawiedliwy spożywać nie chciał.

Ale, oto, zaczął przychodzić codziennie do więzienia młodzieniec o pięknym obliczu, odziany w białe szaty i przynosił dla Eljasza pożywienie. Był to Anioł, a gdy przychodził, straż go nie widziała, a drzwi więzienia same się otwierały, a straż i tego nie widziała.

Raban Eljasz jadł i już głodny nie był. Młodzieniec mówił mu piękne słowa i Raban już nie był smutny, śpiewał psalmy Dawidowe i chwalił Pana.

II.

Sprawiedliwy Raban Eljasz, niech pamięć jego będzie błogosławiona, był z wielkiej familji kapłańskiej, której członkowie najpierwsi w szkole słuchają czytania przykazań, na cmentarz nigdy nie chodzą, ani się umarłego nie dotykają. Dotykają tylko ciała umarłego ojca, matki i rodzeństwa bliskiego.

Nie chodził na kirkut i Raban Eljasz i nie dotykał umarłych. Tak było zawsze. Ale gdy umarł w Wilnie ubogi krawiec Lejzor i wieźli jego ciało na cmentarz, poszedł za nim Raban Eljasz. Zbliżyli się do niego ludzie i pytali:

— Co to jest Rabbi? Nigdy za umarłymi nie chodzisz, a za krawcem Lejzorem idziesz?

— Wy nie widzicie tego, co mi jest danem widzieć. Ten człowiek śpiewał zawsze w domu i w szkole psalmy Dawidowe. Teraz król Dawid za nim idzie, tylko nikt go widzieć nie może, a ja widzę króla Dawida i dla tego takż idę.

(Według J. I. Kraszewskiego).



BLUŻNIERCA UKARANY.

Jezuici, wezwani do Wilna przy końcu XVI stulecia dla zwalczania gwałtownie szerzącej się reformy, posiadli kościół św. Jana i starali się pociągać lud, działając na jego wyobraźnię. W tym celu urządzali wspaniałe nabożeństwa, procesje, widowiska, dysputy publiczne i t. d.

Na zewnętrznej ścianie kościoła św. Jana, w miejscu, gdzie dziś znajduje się pomnik Chreptowiczów, Jezuici ustawili w niszy figurę Matki Boskiej Loretańskiej, przed którą odprawiali uroczyste nabożeństwa.

W roku 1668 wieczorem niszę, w której stała figura Najśw. Panny, rzęsiście iluminowano lampkami kolorowemi i przybrano kwiatami. Ulicę Zamkową zapełnił lud i klęcząc śpiewał razem z księżmi litanję do Matki Boskiej.

Nabożeństwo nie było jeszcze skończone, gdy środkiem klęczącego i rozmodlonego ludu zaczął się przeciskać szlachcic dysydent, ale szło mu to z wielką trudnością, ponieważ ścisk był wielki i ludzie klęczeli ramię przy ramieniu.

Rozgniewany szlachcic stanął naprzeciwko figury Matki Boskiej, wparł się w boki i, nie zdejmując czapki, zawołał na cały głos:

— Patrzcie na nich! Jak papiści czczą swego bałwana! Boże dobry, jak możesz ścierpieć to ich bałwochwalstwo? Nigdy w Wilnie takich rzeczy nie widziano i nie słyszano, a teraz bezwstydnie jakiejś lalce się kłaniają.

Lud, oburzony takim naigrawaniem się ze świętości, omal nie rozszarpał bluźniercę, którego mocno poturbowanego ledwo uratowali księza.

Czekała go jednak inna kara.

Zbliżając się do swej kamienicy, szlachcic posłyszał krzyki rozpaczliwe i lament. Przeczując, iż stało się jakieś nieszczęście, wpadł do mieszkania i tu ujrzał zwłoki swego 6-letniego ukochanego syna jedynaka, który w chwili, gdy ojciec bluźnił Najświętszej Pannie, wypadł oknem i o kamienie głowę rozbił.

Nad ranem przycwałował konno ekonom z folwarku, należącego do szlachcica i oznajmił, że w nocy wilk wkradł się do owczarni i wszystkie owce wydusił.

Ale nie skończyły się na tem nieszczęścia, bo oto tegoż dnia zachorowała 16-letnia córka szlachcica na jakąś dziwną chorobę, której medycy określić nie umieli i po kilku godzinach skonała na rękach zrozpaczonych rodziców. Nie przeniósł tych ciosów bluźnierca i serce mu pękło.

(Według J. I. Kraszewskiego. „Wilno“ T. III).





KOŚCIÓŁ Ś.Ś. JÓZEFA i NIKODEMA.

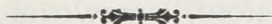
Za Ostrobramą z lewej strony w dziedzińcu domu narożnego (Misjonarskiego) znajduje się murowany, piętrowy budynek mieszkalny. Część tej oficyny zachowała architekturę kościelną, mianowicie część wystawy frontowej i absydę.

Był to niegdyś kościół ś.ś. Józefa i Nikodema, fundowany w r. 1625.

W końcu XVIII wieku pożar tak znacznie zniszczył kościół, iż musiano go zamknąć, a sprzęty wynieść. Niedługo potem przerobiono kościół na dom mieszkalny.

U ludu wileńskiego utworzyło się podanie, że niekiedy o północy dają się słyszeć dzwony, dźwięki organów i śpiew, oraz widać światło. To zmarli proboszczowie wstają z grobów i odprawiają nabożeństwo w ruinach kościoła.

(J. I. Kraszewski „Wilno“. T. II. 263).





ZAGADKOWY CUDZOZIEMIEC.

Latem roku 1845 ludność wileńska była ogromnie poruszona i zaciekawiona następującem zdarzeniem zagadkowym. Pewnego wczesnego poranka, nabożni, udający się na mszę do kościoła św. Jana, zobaczyli siedzącego przy drzwiach kościelnych obłąkanego zakrystjana tego kościoła, chociaż w przeddzień wieczorem był on zupełnie zdrów. Nieszczęśliwy, oglądając się i uśmiechając bezmyślnie, bawił się starami monetami złotymi, których kilkanaście walało się na ziemi.

Nikt nie mógł zgadnąć, co spowodowało nagłe obłąkanie i skąd się wzięły złote pieniądze, ale dla wszystkich było jasnem, że istnieje jakiś tajemniczy związek pomiędzy temi ostatniemi a chorobą zakrystjana. Zjawiło się przypuszczenie, że musiał on znaleźć skarb w jednej z kryjówek, których sporo miały podziemia kościelne i że został czemś nastraszony.

Dano znać policji, która rozpoczęła dochodzenia. Monety złote, przeważnie polskie, pochodziły z XVI i XVII w., chociaż między niemi było

kilka monet obcych państw. Obejrzano starannie kościół i podziemia, ale nie znaleziono nic takiego, coby dopomóc mogło do rozwiązania zagadki. Jedno nie ulegało wątpliwości, mianowicie, że w nocy zakrystjan stoczył z kimś walkę, o czym świadczyły liczne sińce i draśnięcia na twarzy i na rękach, a także odzież pomięta i miejscami porwana.

Od obłąkanego nie można było niczego się dopytać, ponieważ nie odpowiadał na pytania, zdając się ich nie słyszeć, coś niezrozumiale mrucał, trwożliwie się oglądał i chwilami zrywał się i, jak wściekły, rzucał się na ludzi. Musiano go skrepować, poczem odwieziono do szpitala dla obłąkanych OO. Bonifratrów.

Żona zakrystjana z płaczem opowiedziała, że wieczorem dnia wczorajszego przyszedł do nich jakiś nieznajomy, prawdopodobnie cudzoziemiec, ponieważ z trudnością można było zrozumieć co mówił. Wyprowadził on męża do przyległego pokoju i tam o czymś po cichu się naradzali.

O godzinie 11-ej przed północą zakrystjan wyszedł z mieszkania i już nie wrócił.

W owym czasie Wilno nie było tak rozległym i tak zaludnionym, jak dziś, miastem i liczyło niespełna 40 tysięcy mieszkańców. Całe życie skupiało się na rynku około ratusza, gdzie, zwłaszcza w rannych godzinach, zbierały się tłumy ludzi, należących do wszystkich warstw społeczeństwa. Tam dzielono się nowinami, powtarzano sobie plotki.

W dniu, w którym znaleziono nieszczęśliwego zakrystjana, rynek był szczególnie ożywiony,

a tłum podniecony. Wszechstronnie omawiano zagadkowe zdarzenie i każdy miał coś do powiedzenia i do podzielenia się z innymi swemi domysłami.

Ale niebawem ogólną uwagę zwrócił na się służący z hotelu „Italia“, znajdującego się naprzeciwko ratusza. Ten opowiedział, że wczoraj rano zajął pokój w hotelu pewien cudzoziemiec, jak się zdaje, włoch. Spędził on dzień cały w mieście i wróciwszy do hotelu wieczorem, zamknął się w swoim pokoju. Niewiadomo co tam robił, ale słychać było szelest papierów. Późno wieczorem gość zawołał służącego, uregulował rachunek, obdarzył służbę i wyszedł na miasto, wzięwszy ze sobą niewielką walizkę ręczną. Według opisu był to niewątpliwie ten sam człowiek, który przychodził do zakrystjana i uprowadził go ze sobą. Wiele osób spotykało nieznanego w mieście; jedni widzieli go w jadłodajni Jodko, gdzie jadł makarony, ktoś zetknął się z nim w sklepie, gdy kupował kosztowne cygara; widziano go również w kościele św. Jana, który cudzoziemiec zdawał się szczegółowo oglądać i jakby mierzył krokami. Słowem, każdy krok cudzoziemca był już wiadomym, tylko pozostało niewyjaśnionem, co się z nim stało.

Nie wątpiono ani na chwilę, że cudzoziemiec wiedział o skrytce kościelnej, zawierającej skarb, że przekupił zakrystjana, przy pomocy którego zawładnął złotem i że chciał go zamordować, jako niepożądanego świadka.

Policja zbadała świadków, dokonała oględzin kościoła i jego podziemi, oraz pokoju, zajmowanego

przez cudzoziemca w hotelu „Italja“, ale znalazła tam tylko zmiętą starą gazetę włoską i w piecu trochę popiołu po spalonych papierach.

Tegoż dnia przywieziono do policji jakiegoś nieznanego człowieka, pjanego do nieprzytomności, którego znaleziono rano za rogatką na Pohulance. Wezwany lekarz ocucił pjanego i ten zeznał, że jest dorożkarzem i że wczoraj umówił się z jakimś Niemcem, iż go do Trok odwiezie. Stosownie do umowy, około godziny pierwszej w nocy czekał na początku ulicy Dominikańskiej na nieznanego, który wreszcie nadszedł ulicą Świętojańską od strony kościoła św. Jana. Niósł on walizkę ręczną tak ciężką, iż z trudnością ją dźwigał. Wspólnymi siłami i z niemałym wysiłkiem ulokowali walizkę w dorożce.

Nie dojeżdżając rogatek na Pohulance pasażer kazał stanąć przed jakąś garkuchnią, gdzie sam przekąsił i obficie uczęstował dorożkarza, któremu na odjeźdźnym dał do wypicia szklanke wódki. Gdy minęli rogatkę woźnica poczuł się niedobrze, stracił przytomność i już więcej nic nie pamiętał. W kieszeni jego znaleziono kilkanaście monet złotych, ale koń i bryczka zniknęły.

Uruchomiono całą policję, rozesłano na wszystkie strony gońców, ale zagadkowy cudzoziemiec jak w wodę wpadł i wszelkie poszukiwania pozostały bezowocnymi.

Minęło kilka tygodni i powoli zaczęto zapominać o zdarzeniu, gdy do policji dano znać, że beznadziejnie chory zakrystjan ma się gorzej i prawdopodobnie wkrótce umrze, ale odzyskał przytomność i mówi do rzeczy. Niezwłocznie

został wydelegowany do szpitala agent policyjny i oto, co mu umierający opowiedział:

Gdy zakrystjan wszedł bocznem wejściem do kościoła w towarzystwie cudzoziemca, ten ostatni zawiązał mu szczelnie oczy opaską, którą wyjął z kieszeni, obrócił go kilka razy na miejscu, potem długo wodził po kościele, zawracając w różne strony, wreszcie stanął i zaczął coś robić. Słysząc było lekkie skrzywienie, potem przytłumiony stuk. Wtedy nieznajomy ujął towarzysza za rękę i obaj zaczęli zstępować w dół. Czuć było chłód i wilgoć. Dość długo szli jakimś podziemnym przejściem, zmieniając kierunek, aż cudzoziemiec zawołał „basta“, zatrzymał się i zdjął opaskę z oczu zakrystjana.

Znajdowali się oni w podziemnym korytarzu przed żelaznymi drzwiami. Latarka nieznajomego rzucała słabe światło, przy którym można było dostrzec zamykającą drzwi żelazną sztabę z wiszącą przy niej sporą kłódką, którą gdy wspólnymi siłami rozpiłowali i z niemałym trudem otworzyli drzwi, znaleźli się w niewielkiej, sklepionej i ciemnej izbie. Przy jednej ścianie stała duża skrzynia żelazna, którą cudzoziemiec otworzył kluczem i podniósł wieko. Skrzynia była po brzegi wypełniona złotymi monetami, klejnotami, pierścieniami, medaljonami i t. d.

Na widok tych skarbów szaf ogarnął zakrystjana. Z nożem, w który się zaopatrzył na wszelki wypadek, rzucił się na towarzysza, ten jednak silnem uderzeniem pięści w twarz, zwałił go z nóg i po krótkiej walce obezwładniwszy, związał.

Zapewniwszy w ten sposób bezpieczeństwo, cudzoziemiec napełnił przyniesioną walizkę i kieszenie złotem i klejnotami, włożył kilkanaście monet do kieszeni zakrystjana, poczem znowu związał mu oczy, wyprowadził do kościoła, zachowując te same, co przedtem ostrożności i obróciwszy go kilka razy na miejscu zdjął opaskę z oczu i dał do powąchania jakiś mocny płyn. Wraz potem zakrystjan stracił przytomność i już nic nie wie i nie pamięta z tego, co się działo potem.

I znowu wyznaczona komisja zbadała kościół, ale i tym razem nic nie wykryła.

Upływał rok za rokiem, nadeszły czasy powstaniowe, gdy kraj cały był w ogniu, gdy nie było rodziny w Wilnie, któraby nie opłakiwała swych członków, poległych w polu, straconych na placu Łukiskim, albo wywiezionych na Sybir. Nie dziw, że zagadkowa sprawa cudzoziemca i zakrystjana została zapomniana. Tylko niekiedy starzy ludzie opowiadali o niej dzieciom, jako o bajce.

* * *

Badacze Wilna wiedzą, że pod kościołem św. Jana istnieje istny labirynt sklepów i korytarzy, które pod ziemią idą w rozmaitych kierunkach i nawet przechodzą pod kamienice, położone po przeciwległej stronie ulic Świętojańskiej i Zamkowej.

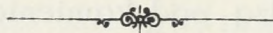
W roku 1886 na dziedzińcu uniwersyteckim (wówczas 1-go gimnazjum) około facjaty kościoła, pomiędzy nią a bramą, zapadła się ziemia i otworzyło się wejście do podziemia.

Niebawem kilku uczniów urządziło „wycieczkę naukową“. Zaopatrzywszy się w świeczki łojowe, tak zw. „szabasówki“, na sznurach spuścili się do lochu, ale niestety bawili tam bardzo krótko, ponieważ niezwłocznie zostali przez pedlów i woźnych wydobyli na powierzchnię ziemi i za ciekawość ukarani kozą. Otwór tegoż dnia zamurowano.

Uczestnicy wycieczki opowiadali, iż znaleźli się w korytarzu sklepionym, którego wysokość i szerokość wynosiła około 2 metrów. Korytarz szedł wzdłuż kapitałnej ściany kościoła, zaś w końcu jego były drzwi żelazne o 2 czy 3 sztabach z wiszącymi przy nich wielkimi kłódkami. Zarówno drzwi, jak sztaby i kłódki były pokryte rdzą i pleśnią, świadczącą, że od dziesiątków, a może setek lat drzwi nie były otwierane. Nikt, nawet woźny Wiktor nic o tym lochu nie wiedział, chociaż służył w gimnazjum prawie od początku jego istnienia.

Co to za korytarz podziemny, dokąd prowadzi i co się znajduje za drzwiami tajemniczymi, wszystko to pozostaje zagadką, którą może kiedyś rozwiąże zbadanie podziemi świętojańskich przez specjalistów.

(Biełorusskaja Żiźń, z d. 30 stycznia 1914 r. Nr. 14).





DUCH W PODZIEMIACH KOŚCIOŁA OO. DOMINIKANÓW.

Jak tylko w r. 1863 przybył do Wilna Murawjew-wieszateł, niebawem więzienia wileńskie wypełniły się aresztowanymi patriotami, a gdy zabrakło w nich miejsca, obrócono na więzienia klasztory Dominikanów, Franciszkanów, Bernardynów i inne. Najgorszem pod każdym względem było więzienie w klasztorze Dominikanów, w którym mieściła się również komisja śledcza.

Pod kościołem Św. Ducha i klasztorem są obszerne podziemia, tworzące istny labirynt. Niewiadomo dla jakiej przyczyny Murawjew rozkazał, ażeby te sklepy grobowe były pilnie strzeżone, to też przy wejściu do nich w dzień i w nocy stał na warcie żołnierz, zmieniając się co cztery godziny.

Pewnego rana gruchnęła po mieście wieść, że w podziemiach dominikańskich pojawił się duch. Wiadomość o widmie podawano z ust do ust z dodatkami i upiększeniami.

W rzeczywistości rzecz się tak miała:

Młody żołnierz, stojąc w nocy na warcie u wejścia do podziemia, chciał zapalić papierosa, co mu się nie udawało z powodu wiatru. Wtedy wszedł w głąb korytarza i nagle w ciemności ujrzał o kilkanaście kroków przed sobą białą, powiewną postać ludzką, która poruszała się i zdawała się zbliżać ku niemu.

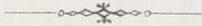
Przerażony w najwyższym stopniu, żołnierz porzucił karabin, pędem wybiegł z podziemia i stanąwszy przed oficerem dyżurnym, blady i trzęsący się ze strachu, opowiedział, że widział upiora. Był on przezroczysty, o strasznej twarzy. Widmo, wyszedłszy z trumny, posuwało się ku niemu i wyciągnęło rękę, chcąc go pochwycić. Żołnierz dodał, iż raczej gotów jest poddać się najsroźszej karze, niż pójść na wartę do lochów. Inni żołnierze również odmówili posłuszeństwa. Wtedy wartę zdjęto, zaś wejście do podziemia na głucho zamknięto.

* * *

W roku 1908 miałem sposobność oglądania widma, które przed 45 laty tak nastraszyło żołdaka moskiewskiego. Gdy, badając podziemia pod kościołem św. Ducha, zagłębiłem się w korytarz boczny, przeciąg zgasił mi świecę i znalazłem się w ciemności, do której gdy się oczy przyzwyczyły, ujrzałem przed sobą w pewnej odległości białawą, świecącą własnem światłem, postać ludzką. Wymukła, sprawiała wrażenie przezroczystej, zlekka się chwiała i jakby drżała. Rysów twarzy, również jak kończyn, rozróżnić nie mogłem, widmo bowiem zdawało się być okryte białym całunem.

Blizsze badanie wykazało, że w murze korytarza jest wążka szpara pionowa, przez którą z zewnątrz przenika światło dzienne, lub od latarni, znajdującej się na ulicy i, padając na przeciwległą ścianę, daje niejaki podobieństwo białawej i powiewnej postaci ludzkiej.

Nie dziw, że żołnierz, wartujący w nocy w podziemiu, pełnem trumien, czaszek i kości ludzkich, czuł się nie swojsko i z łatwością przyjął za ducha odbicie światła na ścianie, a przestach i wyobraźnia kazały mu zobaczyć okropną twarz, wyciągnięte ku niemu ręce i zbliżanie się widma.





PODANIE Z ROKU 1923.

Pierwsza połowa zimy 1922—23 roku w Wilnie była niezwykle ciepła. Jeśli niekiedy wypadł śnieg, to wnet tajał. Drogi, wiodące do miasta, rozmiękły, na ulicach stały kałuże, jak w marcu, a rynsztokami płynęła mętna woda, unosząc rozmaitego rodzaju nieczystości z ulic i dziedzińców. Wilja nie zamarzła, a na drzewach pokazały się pączki.

W taki to ciepły poranek styczniowy jechał do Wilna włościanin z pobliskiej wsi i wioził ze sobą małe prosię.

Przejeżdżając wzgórze Szeszkinie ujrzał stojącego przy drodze niemłodego człowieka, który był zupełnie nagi. Na bladej twarzy i w zamgłonych oczach malowały się boleść i cierpienie. Było w nim coś, co mimowoli wzbudzało litość, współczucie i chęć przyjścia z pomocą.

Włościanin zatrzymał konia i zapytał nieznanego, co mu jest i dla czego nie ma na sobie

żadnej odzieży. Nie odpowiadając na zapytanie nagi człowiek rzekł:

— Kup dla mnie w mieście jaki przydzie-
wek, a Bóg wynagrodzi dobry uczynek.

— Chętniebym spełnił twoją prośbę, ale nie mam ze sobą potrzebnych na kupno odzieży pieniędzy.

— Sprzedaj proszę, a będziesz miał pieniądze.
Włóścianin parsknął śmiechem.

— Tego, co mi dadzą za to małeństwo, ledwo wystarczy na parę kieliszków wódki.

— Zrób tak, jak mówię. Będę cię oczekiwał na tem miejscu.

Gospodarz odjechał, wzruszywszy ramionami i pomyślał, że nagi człowiek jest niespełna rozumu, lecz jakież było jego zdumienie, gdy w miarę posuwania się naprzód prosię zaczęło rosnać z nadzwyczajną szybkością. Gdy dojechali do rynku, na wozie zamiast małego prosięcia leżał ogromny, tłusty wieprz.

Niebawem obstąpili wóz kupcy i po krótkim targu zapłacili wyjątkowo dobrą cenę. Uradowany gospodarz kupił na Bosakach koszulę, spodnie oraz kapotę, dziwując się, że bardzo mało zapłacił i pośpieszył z powrotem.

Na dawnem miejscu przy drodze pod górą Szeszkinie już go oczekiwał nagi człowiek.

Ten, gdy się ubrał, podziękował litościwemu włóścianinowi i rzekł:

— Pytałeś mię, kim jestem i dla czego chodzę nago. Otóż, wiedz, że jestem ofiarą bolszewików, którzy owładnąwszy Wilnem w roku 1920-ym, obdarli mię z odzieży i nagiego żywcem do ziemi

zakopali, a że umarłem bez spowiedzi, wtedy dopiero miałem być zbawionym, gdy jaki litościwy człowiek moją nagość przykryje. Tyś się ulitował nademną i Bóg nie pozostawi ciebie bez nagrody. Na pożegnanie powiem ci jeszcze, że teraz zima wodą płynie, a wiosna popłynie krwią!

KONIEC.

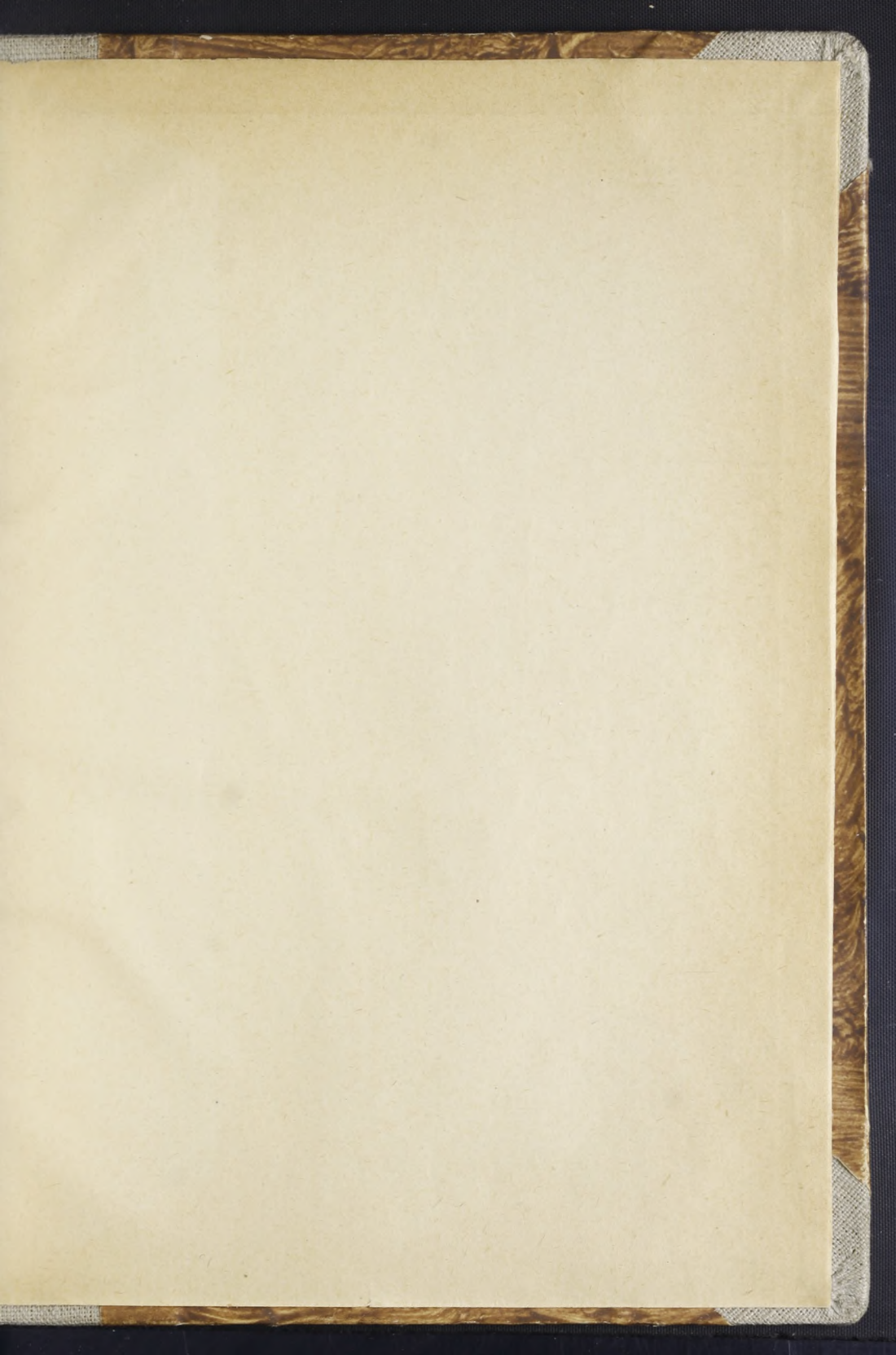
SPIS RZECZY.

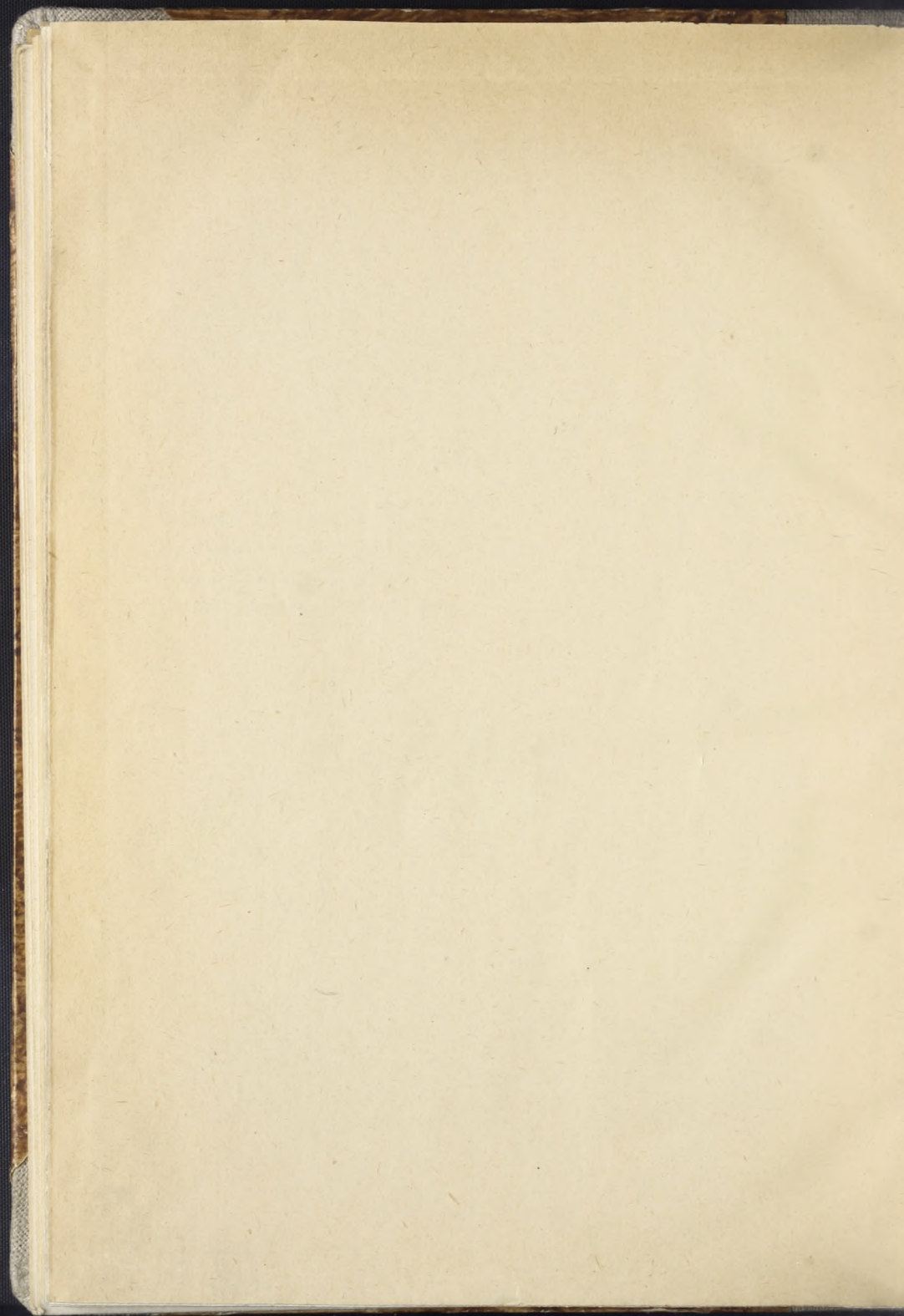
	<i>Str.</i>
Przedmowa	III
Bazyliżek	1
O świątyni Perkunasa	9
Lizdejko	11
Podanie o żelaznym wilku	17
Wejdałotka	20
Słowik i róża	25
Pogrzeb Kiejstuta	31
Studienka w kościele św. Krzyża	38
Legenda o krzyżu w kościele katedralnym	41
Jasiński	45
„Dowojna“, legenda herbowa	51
Kościół św. Anny	55
Biskup Tabor i żebrak Studzieński	62
Obraz trójreki św. Kazimierza	69
Cień Barbary	71
Duch Zygmunta Augusta	75
Księga Twardowskiego	77
Kacper Bekiesz	79
Figura Ukrzyżowanego Zbawiciela u św. Jana	82
Potępienicy w kościele św. Jana	84
Bocian św. Kazimierza	89
Kur księcia Radziwiłła	91
Szwedzi w Wilnie I i II	93
Łańcuch ofiarny w Ostrej Bramie	97
Hetman Michał Pac I i II	101
Zołotarenko	104
Widmo na cmentarzu Bazyłjanów	106
Skarb zaklęty na Bakszcie	109
Dwóch przyjaciół	113
Niewinnie osądzony	115
O księdzu zbójcy	118
Osobliwe dziecko	122
Skąpa baba	126
Kamienie na Śnipiszkach	128
Wilcza Łapa	131
Statua Chrystusa na Śnipiszkach I i II	133
O. Melchior i djabeł	139
Historja sprawiedliwie nawróconego	144
Raban Eljasz I i II	148
Bluźnierca ukarany	151
Kościół św. Józefa i Nikodema	153
Zagadkowy cudzoziemiec	154
Duch w podziemiach kościoła OO. Dominikanów	161
Podanie z roku 1923	164

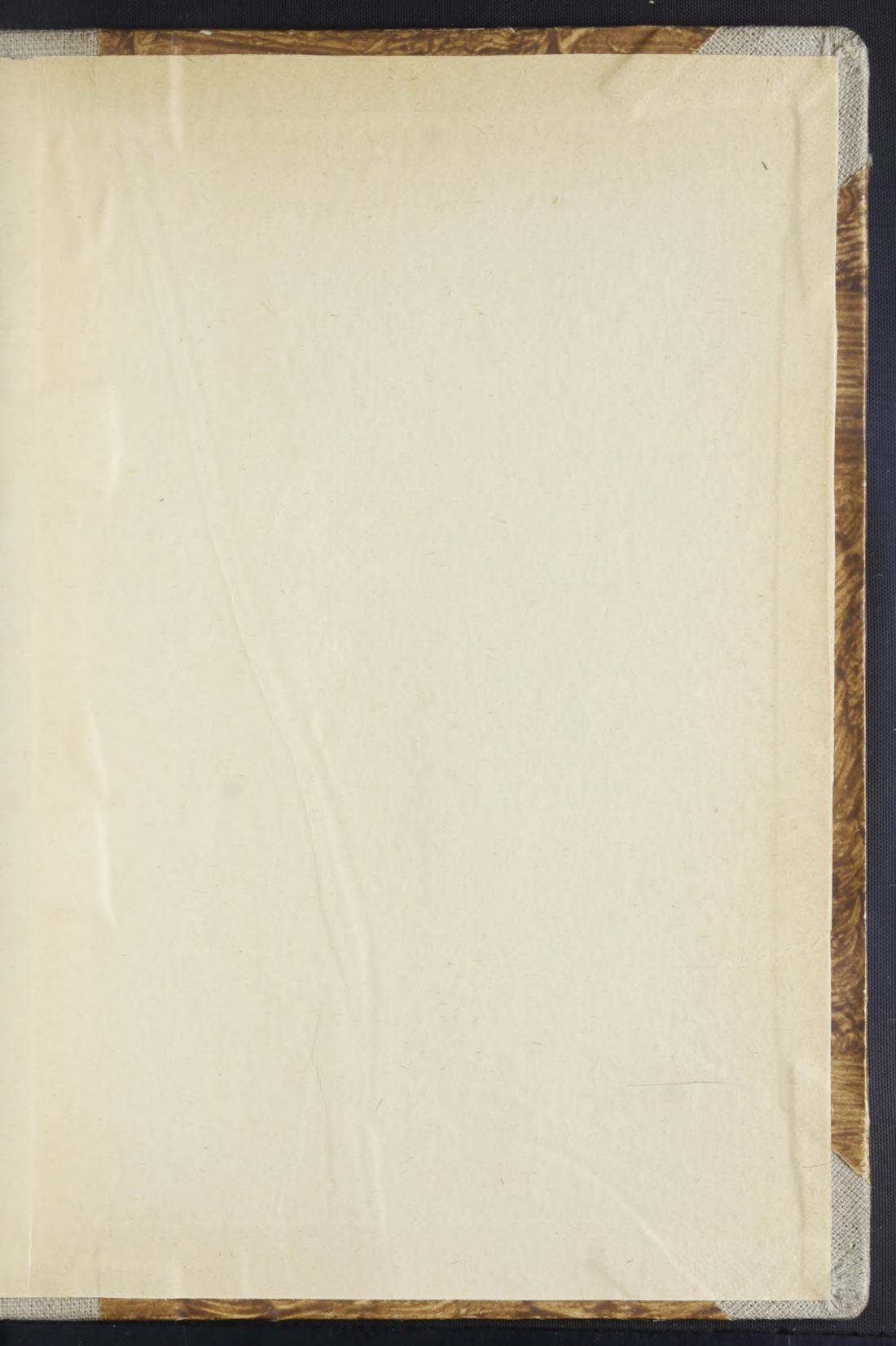
RYSUNKI.

	Str.
Młodzian i Bazyliszek	8
Ks. Butwif przed księgą Twardowskiego	64
Śmierć Kacpra Bekiesza	80
Potocki u rabina w Amsterdamie	144











BN

BIBLIOTEKA
NARODOWA

513134